

DZIS I JUŻ

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V

Warszawa, 9 stycznia 1949 r.

Nr 1 (163)

D. Mondrone S. I.

U SADZAWKI SILOE

Znany ateistyczny pisarz, Pitigrilli, wydał książkę pt.: „La piscina di Siloe” (Sadzawka Siloe), omawiającą dzieje jego nawrócenia na katolicyzm. Konwertyta włoski uczynił z „Sadzawki Siloe” rodzaj publicznej spowiedzi, tym charakterystycznej, że mówiąc o błędach autora, jest zarazem obrazem błędów całego jego pokolenia.

Poniżej umieszczamy tłumaczoną z włoskiego recenzję tej książki, zamieszczoną w 2351 numerze wydawanego w Rzymie jezuitckiego pisma „La civiltà cattolica”. W najbliższym czasie zapoznamy Czytelników z fragmentami książki Pitigrilliego.

REDAKCJA

Nie razy boskie kroniki rejestrują nowe nawrócenie, spontanicznie wybuchu potrzeba gloryfikowania dobroci Bożej, która drogami najbardziej nieoczekiwanymi pozyskała duszę uparcie przed nią uchodzącą. Jednakowo spontaniczne jest życzenie, aby ten porót mógł być jednocześnie wezwaniem dla wielu blужdzących się po ścieżkach błędów. Aby i dla nich otworzyła się radość zdobytej prawdy.

Kto zakończył czytanie „Sadzawki Siloe” (Sonzogno — Mediolan), gdzie Pitigrilli opowiada jak odbyło się jego spotkanie z Bogiem, będzie musiał zawołać: istotnie dobrym jest Pan dla tych, którzy go szukają, gdyż, gdzie tylko ujawnia się choć trochę dobrej woli w stosunku do Niego, nachyla się z nieskończoną troskliwością.

Słynny autor powieści pornograficznych (tych książek, które wycofał z obiegu znamiennym gestem, zabraniając wszelkich nowych przedruków), uparcie stukał do wszelkich drzwi tajemnych, szukał na swój sposób Boga, i Bóg dał się odnaleźć. Widać, jak dar Wiary deponowany w jego duszy z chrztem, którego matka pozwoliła mu udzielić w sekrecie, kiedy miał cztery lata, pozostał w nim przygaszony, lecz nie całkiem zamarty. Wytłumaczając koleją koleją przez które ta dusza przechodziła. Ten postaw nakłaniał go od czasu do czasu do poszukiwania Boga, w którego ojciec żył przestąpił już wierzyć. Sam pisarz zbyt wiele chionął błędów co doprowadziło go do niewiary i do opumanięcia prozatorskim spokojem, jak przewidywana zresztą miała być jego niewiara.

„Sadzawka Siloe” jest jakby publiczną spowiedzią.

Pierwszą uwagę, którą można zrobić o niej jest brak tej pewności siebie sadzącej; nieprzejednanej, która się spotyka często u świeżych konwertystów i która ujawnia raczej poszukiwania amatora przygody, niż pokorę tego, który się spowiada. Pitigrilli (Dniedsegre) umie dzięki Bogu mówić o rzeczach wyższych od niego samego, dlatego, aby mówić o rzeczach prawdziwych, aby opowiedzieć prawdziwie, jak się odbyło jego nawró-

cenie. Stąd staranie, aby obniżyć ton, niedramatyzować opowiadania, doprowadzić do elementów istotnych, oszczędzając czytelnikowi analizy wszystkich jego niepokojów i depresji, wszystkich jego zapałów, wysiłków, które zazwyczaj są najbardziej intymną treścią u konwertyty.

„Ojciec mi mówił, że Boga nie ma, że Jezus Chrystus jest kimś w rodzaju Garibaldiego, że religie są tylko sklepikami. Między innymi i żydowska, i że ich kapłani są tylko bufonami, między innymi i rabini taka była synteza nauki ojcowojskiej”. Ale ponieważ to nie wystarczało, aby tak prędko usunąć potrzebę Boga, którą odwrotnie zwiększyło u niego pragnienie znalezienia się na terenie mocnym, gdzie można spokojnie w Niego wierzyć więc zaczął wypływać duchowych w sprawach wiary, szukając u nich pomocy.

Zwrócił się do kaznodziejów, aby mu rozwiązały zagadkę Opatrzności Bożej, w przeciwstawieniu do zła, które panuje na świecie. Chciał, aby wytłumaczono mu czym jest wiara. Dał mu on inteligentną odpowiedź o istnieniu duszy i o tym co następuje po śmierci, ale to odpowiedzi wydawały mu się zawsze mniej przekonujące, niż inne, dane przez Woltera Renans i Max Nordauera „Syrop słów”, który nie wystarczał jako odtrutka przeciw rozumowaniu Volney'a, Hecla, Buchnera i Spencera. Zastanawiał się dlaczego ci, których błagał o umocnienie go w wierze nie używali zdań wnikliwych, mocnych, sugestyjnych jak to robi Anatol France i Remy de Gourmont, Salomon Reinach i inni synowie wiary. Z głową nobilita i zamgloną próżnością, tych którzy podówczas byli mu mistrzami niewiary, znajdował u nich więcej światła niż w prostych odpowiedziach katechizmu i kilku pokornych księży Pitigrilli nie mógł zrozumieć, że wiara jest darem udzielanym pokornym. Wytłumaczył mu to miała wiecie lat później „księżka której lekko myśląc nigdy nie otwierał, jeśli otworzył, to czytał byle jak, Ewangelia w/g św. Łukasza, która mówi mniej więcej tak: „Nie szukajcie w naszej nauce zdań wyszukanych”.

Pitigrilli więc szukał, ale szukał źle, bo nie szukał za prostotą, nie pukał do drzwi Bożych z potrzebną pokorą. Chciał mieć te odpowiedzi, które umie dawać wiedza ludzka. Ponieważ ich nie otrzymał przeszedł z gestem buntu koło duchów oświeconych, nie spostrzegając się, że przechodzi na stronę błędu. Wie o tym dzisiaj, kiedy lojalnie przyznaje „byłem i ja dzieckiem wieku dziecięciem ciemności, siewcą błędów. Oddałem przerobione surowce, które otrzymałem”. Stał się jednym z tych dwudziestolatków, którzy nieprzygotowani i bez busoli błąkają się w życiu, aby zbierać z życia to co ono może dać — w ten sposób pojęte. „Inne wychowanie, przyznaje dzisiaj ze smutkiem, mo-

głoby mi zaoszczędzić tych nieporozumień”.

Owoce owych „nieporozumień” były w szczególności jego książki, które rozchodziły się w dużych nakładach i były tłumaczone na szesnastu języków. „Przyjąłem formułki synów ciemności, które mnie oczarowały i publiczność poszła za mną”. Później Pitigrilli śmie pisać „nie zepsułem społeczeństwa: Opisałem tylko społeczeństwo zepsute”. I nie spostrzegł się, że to jest również język dziecka wieku, które myśli, że może pozbyć się swego udziału w odpowiedzialności za społeczeństwo pod pretekstem zbyt wygodnym i nadużytem, że chciał je po prostu opisać takim, jakie jest.

Była wtedy modna teozofia i Pitigrilli tam przenosił swe poszukiwania. W rękach ludzi, którzy się uważali za wykształconych, znajdowały się książki o magii Papusa i Elifasa Levy. Pitigrilli je czytał. Panowało szaleństwo mediów i stoliczków, mówiących i Pitigrilli tam uczęszczał. Od czasu do czasu zbierał się do niego i do niego byli z Indii i Pitigrilli się ich raził. Badał wiedzę okultystyczną Schopenhauera, Swedenborga, a kiedy się ukazała radiestezja i pendolinstki wysłuchał trzech odczytów, które określa jako „ostatni stopień głupoty i upadku”.

I tu Pitigrilli stawia przed nami fakt rzeczywistości ciekawy, fakt, który mógłby spowodować całe rozdziały dyskusji, ale który według nas da się wytłumaczyć w sposób daleko prostszy, gdy przypomnimy sobie, że Bóg, aby przyciągnąć do siebie dusze wie, jak użytkować wszystko, nawet grzech, dla swoich celów zbawienia — drogami często nieoczekiwanymi, aby uratować Pitigrilliego użytkował On także ja. Wtedy wrócić spirytystycznym, wierząc zazwyczaj ku duchowi ciemności dla niego miała się stać ta, która go zaprowadziła do Boga. Zdarzają się media, które zadziwiają swym dziwnym pomieszaniem religijności i zabobonu, wzywaniem Boga i wzywaniem zmarłych. To które spotkał Pitigrilli było, można by powiedzieć medium „dobrego ducha” zanim nawiązał kontakt ze zmarłym i wzywał Boga, prosił, aby mu było wolno rozprawy z zmarłych. Trudno zrozumieć, jak to mógł go dzielić z praktyką zabronioną przez Kościół. To medium mówił Pitigrilli nie znało nikogo z biorących udział w zebrawaniu, a on sam podał się za aktora. „Gdy wpadła w trans i zaczęła pisać zdania, których nie pamiętam, ale które mi się wydały znane od dwudziestu lat na wszystkich seansach, oddaliłem się od stoliczka. W tej chwili usłyszałem głos osoby czytającej „zwracam się szczególnie do ciebie”, a potem moje nazwisko i szereg rad, wskazówek, wymówek, opisów... dotyczących epizodów z mojego życia, których nikt nie znał prócz mnie”. Pitigrillemu zdarzył się więc fakt zu-

pełnie nowy w serii jego doświadczeń spirytystycznych. Interwencja diabła? możliwe. Ale dziwnym jest, że „te duchy nawoływały do modlitwy, do tego, aby być dobrym, sprawiedliwym, strzec się wskazań złych duchów, prosiły, by dać na Msze za ich dusze i przestrzegały przed niebezpieczeństwem śmierci z ciężarem związków ludzkich lub bez łaski boskiej”. Pitigrilli dokłada wszelkich starań, aby odradzać wszystkim podobne eksperymenty. „To co zdarzyło się mnie nie musi zdarzyć się wam. Jeżeli Bóg chce uczynić wam dar naturalnej łaski, wyberte inną drogę”. Pitigrilli na ten temat rozwodzi się szeroko, aby zapobiec szkodzi, która by mogła wyniknąć z tego wypadku szczególnego i zato możemy go tylko chwalić. Ale kiedy z tego, co mu się zdarzyło bierze asumpt, aby twierdzić, że w żaden inny sposób nie byłby odnalazł Boga, idzie za daleko. Co najmniej chciałby abyśmy uwierzyli, że gdyby Bóg przepuścił okazję owych seansów spirytystycznych, nie byłby znalazł innych sposobów, aby zdobyć Pitigrilliego. Może rozcie teologa, kiedy Pitigrilli określa łaskę jako „podatność do wiary i oporność na zwątpienie”, ale od autora „Sadzawki Siloe” nie możemy wymagać zbyt wiele. Miał sam pokorę napisania na końcu swej książki, „jeżeli wpadłem w błędy poważniejsze, niż mi się wydaje, niech mi teologowie przebaczą, Kościół poprawi i Bóg odpuści”.

„Jest w głębi jego duszy to „pius credulitatis, affectus”, który powoduje, że człowiek jest na tyle uległy by przyjąć prawdy objawione nawet wówczas, gdy rozum się buntuje i nie aprobuje ich racjonalnie. „Moje dawne obiekcje rozwiązały się, jak mgły... Od dnia kiedy uwierzyłem w Boga rozumowanie odwróciło się bez wstrząsu, tak, jak gdybym nigdy nie rozumował inaczej: Zrozumiałem, że matematyka i fizyka nie są niczym innym, niż transpozycją w cyfry mądrości Bożej i że prawa fizyczne są harmonijnym i niezmiennym wykonaniem Jego Woli na wielki wieki. Woli, która już była doskonała, kiedy we fiat lux stworzył życie wszechświata”.

Powiedzmy szczerze, takie wyrażenia nie przychodzą na myśl tym, którzy odgrywają komedie. Mógł napisać Mario Mariani w artykule oszczerczym, „Dla mnie Pitigrilli katolik jest osobistością najbardziej komiczną przez Pitigrilliego stworzoną jest ostatnim i najśmieszniejszym z wytworów jego ducha”. Nam odwrotnie, wydaje się, że możemy znaleźć w tych wyznaniach bezpośrednią doświadczenia, która daje nam lepszą gwarancję szczerości. Wierzący, który czyta, i tylko wierzący, może w nich usłyszeć ton znajomego głosu i uczuć, że głos ten jest w tonie właściwym. Pitigrilli przyznaje, że nie jest całkiem zwycięzcy i że jeszcze walczy ze swymi dawnymi buntami. Ale dodaje „sta-

ram się to zwyciężyć w chwilach, kiedy nerwy odmawiają mi posłuszeństwa widzę tych trzysta pięćdziesiąt tysięcy kapłanów, którzy codziennie odprawiają Ofiarę i kiedy zamykam oczy świat się oświetla, co sekunda czterema Hostiami, które się wznoszą jasne tu i tam wśród ciemności: niedostatki znikają na myśl, że przy słowach hoc est corpus meum skromna materia przemienia się w cało naszego Pana i że wszystkie inne rzeczy są tylko punktami orientacyjnymi dla skromnego zakresu mentalności ludzkiej”. Ponieważ zbyt liczył na inteligencję rozumie całkowicie zwątpienie Dantego, „jakże wadliwe są syllogizmy” i z radością oświadcza, że ma wiarę prostaka „ta, która prostuje rozum”. Wspomina z nostalgią ten kościółek wiejski, gdzie pokorny ksiądz tłumaczył na swój sposób zadania gwiazd. „Tak się powinno mówić do tych wielkich wierzących, którzy są wierzącymi pokornymi. Wielkim wierzącym jest ten chłop francuski, który tak stręścił całą teologię i całą liturgię: Patrz na Jezusa i on na mnie patrzy, tak się modlę... Jest wzorem wierzącego sztukmistrza Barnabaz z Compiègne, który nie znając łaciny roztoczył przed ołtarzem Matki Boskiej swój stary dywan z głową na dół, a nogami do góry rzucał sześć kul kolorowych i dwanaście noży ofiarując Najświętszej Pannie wszystko to co umiał... Może Matka Boska, z której pomocą prosta dziewczyna tłumaczy cud, że kieliszek który jej wypadł z rąk się nie służył, uśmiecha się do niej, jak się uśmiecha do sztukmistrza, któremu schodząc ze swego piedestału wytarła pot ręką swego niebieskiego płaszcza. I wtedy dochodzę do przekonania, że prosta dziewczyna widać prawdziwą, a nie ja”. Ten, który tak mówi ujawnia nam nie tylko pewność swojego podejścia do wiary, ale także zrozumienie tej prostoty, która przybliży do prawdziwego ducha Ewangelii. Dałoby się stąd wywnioskować, że wytłumaczenie tyłu powrotów do wiary znajduje się w trudnej prawdzie: Zrozumiałem, że prawda nie znajduje się w księgach, ale w naszym stanie duszy i że do wielkiej rewelacji można dojść od słów najprostszych i najmniej ozdobnych, kiedy otrzymaliśmy dar podatności — łaskę.

„Pitigrilli nosi wszystkie znaki tego, który poznał radości łaski i głosu Kościoła. Czytanie jego książki, która opowiada o jego nawróceniu daje nam zadowolenie które przekracza zakres literatury. Mówiliśmy o nim obszernie dając może za wiele cytatów. Zrobiliśmy to, gdyż dało to nam wrażenie przytoczenia się do naprawy przeszłości, którą rozpoczął od dnia, gdy powrócił od sadzawki Siloe i mógł powiedzieć z prostotą niewiedzącego od urodzenia „I poszedłem obmyłem się i widzę”. (Jan IX X).

D. Mondrone S. I.

D 11 591 07- R 40-

Karol W. Zawodziński

BALZAKIZM POWOJENNY

W niedawnych sporach o realizm, we wszystkich artykułach na ten temat, oryginalnych i tłumaczonych, imię Balzaca powracało nieustannie, jako bezsprzeczny paragon realizmu powieściowego, jako wzór tego, czym ma być „postulowana” literatura nowej Polski. Zaczęto wznawiać pojedyncze utwory z „Komedii Ludzkiej”, nie licząc się wcale z tem, że jeśli Boy przechodził ciężkie kłopoty finansowe ze swą „Biblioteką”, której istnienie podtrzymywał bezprzykładowym wysiłkiem osobistym i poświęceniem pracy własnej i swych najbliższych, mimo olbrzymiego powodzenia swego wyboru arcydzieł literatury francuskiej, zwłaszcza w trzecim dziesięciu lat naszego wieku, gdy każdy jego tom stawał się „wydarzeniem dnia”, to właśnie dzięki nieproporcjonalnie wzrastającemu z latami udziałowi w tej serii utworów Balzaca, który jednak nie posiadał, jak się okazało, siły przekonywującej dla szeregowego wielbiciela talentu pisarskiego Boya i jego gustów literackich.

Kto miał rację w tym niemym sporze, publiczność czy znakomity wielbiciel Balzaca? Czy dzieło jego posiada te wartości ponadczasowe, które zdolne są narzucić je czytelnikowi, jakby wbrew jego świadomej woli? potęgę sztuki równą np. Tolstojowi, z którym razem krytyka powojenna miała zwyczaj jednym tchem wymieniać Balzaca? Bo przecież Tolstojowi artyście ulegali ludzie, których nic nie łączyło z „tolstojizmem”, którzy wyrażali swój pozatem krytyczny a nawet negatywny stosunek do filozofii i do roli społecznej wielkiego pisarza (por. relację Gorkiego o kulcie Lenina dla Tolstoj, a poświęcaniu nocy tej lekturze, gdy cały czas był pochłonięty sprawami państwowymi). Okazją sprawdzenia tych wątpliwości było odczytanie paru powojennych wznowień Balzaca, dokonanych w taki sposób, że bardzo trudno domyśleć się podstawy wyboru, a nawet można przypuścić zupełny brak jakiegokolwiek przewodniej. Może i lepiej w takim razie: będą to zupełnie przypadkowe rzuty sondy w głąb zagadnienia, które pozwolą najbezszywniej wyprowadzić pewną średnią „statystyczną” prawdę!

Notatki poniższe, które powstały w znacznej odległości czasu jedna od drugiej, bez zamiaru łączenia ich kiedykolwiek (dlatego zawierające te same nieraz myśli, inaczej tylko nieco zredagowane), mogą być pożyteczne, jako dokumenty bezstronne i niezależnego od chwilowych nastrojów i od sugestii banalnej opinii, sądu

1. „STRACONE ZŁUDZENIA”

W stosunku do Balzaca można stać na stanowisku tradycyjnego uznania jego historycznych zasług w rozwoju powieściopisarstwa francuskiego i realizmu powieściowego w nowożytnej literaturze powszechnej, w której nieprzemijające znaczenie posiadają niektóre jego utwory, do dziś aktualne estetycznie i aktywne emocjonalnie, takie jak: „Eugenia Grandet”, „Ojciec Goriot”,

„Szuanie”, lub, że weźmiemy utwór, nie wolny od dłużyzn, ale nacechowany sugestywną potęgą w kreśleniu namietności człowieka — „Kuzynka Betka”.

Można się też odważyć na przeprowadzenie dość daleko idącej rewizji jego sławy, ukazując przewagę w jego dziele składników, w jego epoce tylko aktualnych, zarówno treściowych jak i ekspresyjnych, dzięki czemu nawet najznakomitsze jego utwory nie mogą stać w szeregu takich nieśmiertelnych powieści, jak (że ograniczę się w wyliczaniu do literatury francuskiej i do utworów, które wytrzymały stuletnią przynajmniej próbę czasu): „Manon Lescaut”, „Kandyd”, „Czerwone i czarne”, „Pani Bovary” (można by dodać tu jeszcze kilka pozycji, traktowanych zwykle jako obzerniejsze nowele, z dorobku Merime’ego, Vigny’ego, z dawniejszych J. Gazotte’a „Diabeł zakochany”; nie wszczynam sporu, korzystając z pretekstu że nie mają jeszcze stu lat, o „Nędzników” Wiktora Hugo. Tego rewizyjnego stanowiska nie mam zamiaru tu rozwijać, ani uzasadniać.

Jest wreszcie trzeci sposób podejścia do Balzaca, nawet wśród jego zwolenników, noszący nazwę „balzakizmu”, która to nazwa sama go już charakteryzuje jako rodzaj bezkrytycznego zaślepienia, maniakie go potrosze uwielbienia. Pod znakiem „balzakizmu” rozwijała się w swej drugiej połowie, tak cenna skądinąd działalność przekładowa Boy’a-Zeleńskiego. Dokumentem „balzakizmu” jest jego przedmowa do ocenianej teraz powieści; wpływem „balzakizmu” można tylko tłumaczyć wznowienie tej powieści po wojnie, w chwili gdy tyle najpotrzebniejszych, wznowień oczekuje na swą kolejkę, wznowienie obliczone najwyraźniej na szerokie koła czytelnice i na biblioteki szkolne.

Powieść ta pozostaje bezsprzecznie dokumentem literackim (jako dzieło znakomitego pisarza) i dokumentem historycznym do dziejów prasy, jej znaczenia politycznego, kulturalnego (zwłaszcza w życiu teatralnym) i literackiego (w sprawie kształtowania renomy pisarskiej) w okresie Restauracji, koło 1820 r. Jako dokument historyczny jest oczywiście elementem rozumienia współczesności, przy odpowiedniej „umiejętniej” interpretacji. Nie jest jednak — przyznaje to i Boy w przedmowie — obrazem współczesności (naszej) na wyżej wyszczególnionych odcinkach. W dodatku, jest dokumentem historycznym niełatwym do odcyfrowania, lekturą — powiedzmy poprostu — niestrawną. Wyjęta z „kontekstu” historyczno-literackiego, jako dzieło sztuki, powieść ta wyda się oczom dzisiejszego czytelnika utworem niezmiernie słabym: w stylu operująca użytymi dawni i ośmieszonymi środkami ekspresji, pełna czczego rozopierstwa i moralizowania, w fabule (niezbyt rozumiałej dla czytelnika, nieznanego wskazywanych w dopiskach innych utworów „Komedii Ludzkiej”, gdzie występują tu sporadycz-

nie tylko ukazane postaci), oparta na wszechmocy skomplikowanych intryg i sprzysiężeń, w charakterologii — na elementarnym skonstruowaniu charakterów „idealnych” i „czarnych”. Obok gadulstwa jednych partii, giną w pobieżnej relacji autorskiej, niewyścieleniowane artystycznie te elementy psychologiczne, które mogły by być emocjonalnie aktywne: np. ofiarna miłość Korralii, lub poszukiwanie ratunku w grze hazardowej przez bohatera, któremu noga się powinęła tak samo gwałtownie, jak przedtem wszystko sprzyjało nieprawdopodobnemu powodzeniu w karierze dziennikarskiej zbudowanej na jednej recenzji teatralnej (którą mamy tu podaną in extenso i oceniamy znacznie surowiej niż zachwycone jego odczuciem). Wśród psychologicznych motywów akcji, rozbudowanych po balzakowsku do rozmiarów wszechpożerających namietności, to i owo może być „zaczepione” bądź pod względem etycznym, dla zajętego w stosunku do nich stanowiska autora (sprawy erotyczne), bądź pod względem ich doniosłości (snobizm, próżność światowa, rywalizacja „dandyzmu”).

Ostatnie sprawy stanowiły osobistą słabość znakomitego pisarza i wywarły wielki wpływ na losy jego życia, co powiększa wyżej podkreślone znaczenie książki jako dokumentu. Można nawet spożytkować je dla budowy szerszej koncepcji historyczno-kulturalnej: w epokach przelomu, gdy wraz z upadłym w gruzy starym światem, zginął jego kodeks towarzyski, zdeaktualizowały się jego normy wykwintu (w prezencji, zachowaniu się, stroju), powstaje potrzeba społeczna nowych norm i wzorów w tym zakresie. Tak było po Wielkiej Rewolucji, w momencie formowania się nowego społeczeństwa, w którym upudrowani dworzacy Wersalu byli niemożliwymi do reaktywowania anachronizmem. Stąd w pierwszych dziesięciokach lat XIX w. znaczenie twórców nowej elegancji, Brummelów i kawalerów d’Orsay, oraz wcho dzenie w te szranki rywalizacji ludzi, którzy mieli się czuć innym przeciwieństwem, jak lord Byron i właśnie nasz Balzac, manotrawiący w pasjach dandyzmu i snobizmu (małżeństwo z panią Hańską), dorobek materialny wyjętego do ostatniach granic życia pracy. Przyznać tu również można, dla porównania i wzmocnienia tezy, potężne odbłyski tej samej zgrabnej namietności w życiu i twórczości Puszkina: nieco później, wciąż powracający pościg młodocianego Tolstoj’a za ideałem „perfect gentleman”. Ale właśnie porównanie z ostatnio wymienionymi pisarzami ukazuje jak mało przekonywujące artystycznie jest spożytkowanie tej pasji w dziele Balzaca, (pozostawiając już bez rozpatrywania sprawę złych ewentualnie skutków pod względem pedagogicznym ukazywania wzorów namietnościom, które i w chwili obecnej mają wszelkie warunki do rozpanoszenia się).

Mała sugestywność artystyczna powieści tłumaczy się także jej niezadawalną swą

ta słowną, która w dziełach Balzaca nigdy nie wzbudzała uwielbienia (z wyjątkiem „balzakistów”), nawet u krytyków doceniających znaczenie tego pisarza. Przekład tak znakomitego tłumacza, jakim był Boy, jeden bez wątpienia z najwspanialszych prozaików i w ogóle stylistów na całej przestrzeni dziejów literatury polskiej, nie mógł zaatać braków, chropowatości i błędów artystycznych oryginału. W dodatku przekład „Komedii Ludzkiej”, dokonywany masowo, wśród mnóstwa innych zajęć krytyka, tłumacza, publicysty, noszą niestety ślady pośpiechu i wywołują często wspomnienia tzw. „rzemieślniczych” tłumaczeń powieści francuskiej, najbardziej dawniej u nas rozpowszechnionych. Nie porównywałem z oryginałem, ale potknąć się tłumacza mogłem się domyśleć niejednokrotnie. A oto ich niewątpliwym przykład: mówiąc o działalności grupy młodych idealistów ktoś z ich przeciwników, przedstawiciel reakcji stwierdza, że ich tyrady są niewinną na pozór zabawą dopóki się nie zmienia „w wystrzały fuzji i ciosy gilotyny”. „Fusil” po francusku to jest karabin, broń piechoty i oczywiście w oryginale myśli się o bojowym użyciu skutecznej broni a nie o strzelbach myśliwskich, w którym to znaczeniu używa się wyłącznie słowa „fuzja” po polsku. Jest to drobnostka, ale takich drobnostek, przekonany jestem, szczegółowe badanie przekładu ukazałoby dziesiątki, jeśli nie setki. Łącznie z powiedzianem o innych właściwościach książki, nie zaleca jej to wcale ani jako wzorowego dzieła sztuki realizmu powieściowego, ani jako strawy dla szerokiego kół konsumentów belletrystyki.

2. „CHŁOPI”

Balzac nie mógłby się uskarżać na brak uznania za życia i po śmierci. Modny jest i pożyteczny, jako „powieściopisarz salonowy”, (określenie Mickiewicza) już zanim osiągnął trzydziestkę, zarówno w ojczyźnie jak i (może jeszcze bardziej) poza jej granicami. Około 1830 roku już porównanie z nim wywołuje w krytyce rosyjskiej dla ujęcia właściwości realizmu epickich utworów Boratyńskiego; u nas Kraszewski już w pierwszym dziesięcioleciu twórczości ulega różnorodnym wpływom jego wczesnych dzieł (m.in. także niewątpliwie „Contes Drolatiques”, które odbiły się na stylizacjach takich jak „Jako szatan kusił pustelnika”), a „Kobieta trzydziestoletnia” (której tytuł przynajmniej stał się przysłowiem w całym świecie cywilizowanym) pozostawiła ślad wyraźny na najlepszym zapewne utworze ojca naszego powieściopisarstwa, stojącym na progu jego dojrzałości — w „Latarni Czarnoksiężkiej”. Jako sam synonim realizmu powieściowego, dzieło Balzaca zostało podniesione w swych poznawczych dla socjologa zaletach przez twórców naukowego socjalizmu, Marksa i Engelsa.

W miarę chronologicznego oddalania się od współczesności Balzaca, zaczyna się ustalać jego historyczno-literacka ocena. Nie przestaje być jednym

z najznakomitszych fenomenów literatury francuskiej XIX wieku, Balzac jest sprowadzony do należytych wymiarów jako artysta: nie przemilcza się słabości ukształtowania artystycznego jego utworów, jego stylu i kompozycji (malgré tout le soin qu’il apportait à écrire... ou peut-être à cause de ce soin même, le style est dans l’art de Balzac la partie la plus discutée”, zaczyna krytycznym uwagi na ten temat renowowany nowoczesny podręcznik trzech autorów, E. Abry, C. Audie, P. Crouzet), romantycznego wykrzywienia rzeczywistości w jego odbiciu — świata maniaków i łotrów, wreszcie (poza temi właściwościami ogólnymi jego dzieła) obciążenia jego spuścizny wielką porcją utworów, nie zasługujących na wspomnienie, „śmieci” („beaucoup de fatras” l. c.). Ale jednocześnie rodzi się balzakizm. Geneza jego można wyłomaczyć łatwo: sumienna lektura Balzaca, gdy się już raz ją podjęło, wymaga, ze względu na powiązanie utworów „Komedii Ludzkiej” między sobą (por. nieustannie odsyłanie czytelnika do innych powieści) — ogarnięcia całości. Ze względu na rozmiary cyklu, związane jest to z poświęceniem wielkiej ilości czasu, a ze względu na niestrawność w czytaniu znacznych części jego, także z potężnym wysiłkiem. Tylko wytrwała wola może się na to zdobyć; ale w miarę dokonywania trudu, następuje „rozczłapanie się”, rozsmakowanie się zżyłość ze światem Balzaca, amatorstwo do wykrywania śladów lwiego pazura w najsłabszych nawet jego utworach. Następuje specjalizacja w balzakologii i zrozumiała tego konsekwencja — umiowanie przedmiot swoich badań, które całe życie niekiedy pochłonęły. Zrozumiałe, że nabiera to cech wyłączności, staje się namietnością (jak filatelistyka np.) niekiedy maniactwem — „balzakizmem”.

Przykładem bezkrytycznego balzakizmu jest poświęcenie się Boya propagandzie i tłumaczeniom olbrzymiego cyklu powieści, która to praca ze względu na swą „masowość” nie mogła być okazją uświetnienia jego wspaniałego pióra, przykładem specjalnie jaskrawym balzakizmu Boya jest przekład „Chłopów”. Ale przykładem bezkrytycznego balzakizmu, podniesionego do drugiej potęgi, jest wznowienie powojenne, jako książki popularnej, obliczonej na szerokie koła czytelników i na oddziaływanie społeczne, tej niewykończony, a w ogóle „niewydarzonej” powieści. Zeby usprawiedliwić przedłożenie Polakowi do czytania, książki, której słabości nawet sam we wstępie nie ukrywa, Boy starał się podnieść znaczenie społeczne, a u nas szczególnie, zdaniem jego (w okresie podówczas przeciągającej się reformy rolnej) aktualne, niektórych rysów malowidła społeczeństwa francuskiego w tej powieści.

Można oczywiście niektóre miejsca i tak interpretować, ale są to przeważnie drobne nieznaczące w budowie utworu szczegóły. Sam zaś utwór o

(dokończenie na str. 7)

W kraju

KONGRES P.Z.P.R.

NIEWAPLIWIE kongres PZPR-u — Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, jak brzmiała nazwa nowej formacji politycznej — był najdonioślejszym wydarzeniem wewnętrznym — politycznym u schyłku roku 1948. Był on nie tylko ukoronowaniem pewnego etapu w rozwoju ideowym klasy robotniczej i jej obu partii, ale ponadto stał się jak gdyby rachunkiem osiągnięć politycznych i gospodarczych państwa demokracji ludowej. Rachunkiem, który jest równocześnie preliminarzem.

Na czele nowej partii stanęli: jako przewodniczący Bolesław Bierut, jako sekretarze: Józef Cyrankiewicz, Roman Zambrowski i Aleksander Zawadzki, a jako członkowie Biura Politycznego, wyżej wymienieni oraz Jakób Berman, Franciszek Jóźwiak, Hilary Minc, Stanisław Redkiewicz, Adam Rapacki, Henryk Świątkowski i Marian Spychalski. Partia oparta została w swych statutowych zrębach o wytyczne organizacyjne sformułowane przez Lenina, a określone jako centralizm demokratyczny, to jest silna partyjna władza wykonawcza, egzekwowana przez całkowicie demokratycznie wybierane organy, podlegające do tego pełnej krytyce członków partii właściwego szczebla. Sądząc po ilości delegatów oraz po układzie personalnym władz nowej partii — elementy dawnej PPR partycypują w stroniectwie w 2/3, dawnej PPS w 1/3, proporcjonalnie do stanu ilościowego partii. Partia pomyślana jest jako awangarda klasy pracowniczej i wobec tego uznano za błędną jakąkolwiek masową akcję werbuankową. Godzi się przy okazji zauważyć, że tak w referacie ideologicznym Bolesława Bieruta, jak organizacyjnym Romana Zambrowskiego, została bardzo mocno podkreślona rola mas bezpartyjnych oraz konieczność ściślejszej i szerszej współpracy między członkami PZPR a bezpartyjnymi; dotyczy to szczególnie współpracy na terenie instytucji i zakładów pracy, gdzie bezpartyjni winni w stopniu o wiele większym, niż dotychczas partycypować w Radach Zakładowych.

Cały — siedmiodniowy — czas kongresu wypełniony był, obok referatów partyjnych i politycznych, składaniem meldunków przez poszczególne zakłady pracy, donoszące o wykonaniu rocznego planu produkcji lub o osiągnięciu innych sukcesów w dziedzinie produkcji czy odbudowy.

Dla ludzi stojących poza partiami, oraz dla czytelników naszego pisma, szczególnie interesujące były dwie enuncjacje uczynione podczas kongresu. Jedną — Aleksandra Zawadzkiego — o stosunku państwa do Kościoła oraz drugą — Hilarego Minca — o najbliższych posunięciach gospodarczych i o planie sześciolletnim.

Aleksander Zawadzki oświadczył, iż zdaniem PZPR państwo winno gwarantować zupełną swobodę wyznań religijnych ale w zgodzie z postulatem nowoczesnego państwa, winien nastąpić pełny rozdział pomiędzy Kościołem a Państwem, a co się z tym łączy pełna laicyzacja szkolnictwa i wszelkich instytucji państwowych. Jednocześnie Zawadzki zarzucił pewnej części duchowieństwa, iż uprawia ona działalność polityczną wrogą istniejącemu ustrojowi; oświadczył, iż pozytywny stosunek Państwa do duchowieństwa i Kościoła zależy będzie w pierwszym rzędzie od postawy kleru, czy będzie ona lojalna wobec zmian zachodzących w Polsce, czy też wroga.

Ponad pięciogodzinne przemówienie min. Minc składało się z trzech części. Pierwszej — poświęconej reasumpcji dotychczasowych osiągnięć, drugiej — posunięciom go-

spodarczym w trzecim roku planu Trzyletniego i ostatniej — referującej wytyczne planu Sześciolletniego.

Reasumpcja osiągnięć dotychczasowych uwypukliła, iż produkcja przemysłowa po wojnie wzrosła w ilościach bezwzględnych o 40 proc. w stosunku do roku 1937, a w przeliczeniu na głowę obywatela powiększyła się niemal dwukrotnie. Ze zmienił się zdecydowanie na korzyść przemysłu stosunek między wartością produkcji rolniczej, a przemysłowej, co wskazuje na wzrost tempa uprzemysłowienia kraju. Ze tempo rozwoju produkcji środków produkcji było szybsze, niż środków spożycia, co stwarza bazy dalszej industrializacji. Wreszcie, że przemysł sektora socjalistycznego zdecydowanie wzrasta na siłę przy zdecydowanym obniżaniu się pozycji sektora prywatnego, kapitalistycznego. Na odcinku produkcji rolnej zlikwidowanie ugodów pozwoliło na osiągnięcie w roku 1948 samowystarczalności zbożowej, a nawet przeznaczenia pewnej ilości zboża na eksport. Nieco gorzej, (choć wiele się poprawiło od roku 1945), przedstawia się sprawa z pogłowiem bydłowym i podługowym. W sumie jednak produkcja rolnicza na głowę ludności wynosi w 1948 — 110 proc. produkcji z roku 1938. Oczywiście nie nadała ona za tempem wzrostu produkcji przemysłowej, co jest — zdaniem min. Minc — winą rozdrobnienia i zaoferowania rolnictwa indywidualnego. Odbudowana została wszelka komunikacja, zagospodarowano Ziemię Odzyskaną dokonano nader poważnej odbudowy Warszawy oraz całokształtu niemal uruchomienia portów.

W drugiej części swej mowy min. Minc zapowiedział na rok 1949 częściową reformę płac i całkowite zniesienie reglamentacji towarów. Bliższe wytyczne tej reformy zostały przez tegoż ministra sprecyzowane na posiedzeniu sejmu w dn. 30 grudnia ub. r. Nastąpi: pewne ujednoczenie płac dla pracowników państwowych i samorządowych oraz podwyżka uposażeń, wynosząca około 10 proc. Ponadto wliczone zostaną do płac pewne ekwiwalenty za zniesienie stołówek (stołówek czynnych będą tylko na życzenie większości personelu), ekwiwalenty za zniesienie reglamentacji artykułów kartkowych oraz za podwyżkę cen na tramwaje, koleje dojazdowe, gaz i elektryczność. Dodatki rodzinne wypłacane będą przez Zakład Ubezpieczeń Społecznych. Jednocześnie z reformą płac i zniesieniem kartek ceny na pewne towary (chleb, mąka, cukier, mydło, materiały wełniane) uległy obniżeniu podwyższono natomiast ceny za przejazd kolejami; w ruchu pasażerskim na wyroby tekstylne (prócz wełnianych), oraz za kartki pocztowe i sól. Poważnej niższe uległy ceny na wełnę, mydło i tłuszcze roślinne. Poważnej wyższe — przewozy na PKP oraz tekstylia niewełniane.

Przyszłość okaże jak dalece zwyżka ta wpłynie na podwyższenie stopy życiowej.

W trzeciej części swego przemówienia min. Minc nakreślił ogólne zasady Planu Sześciolletniego. Plan ten ma być nie wprowadzaniem socjalizmu, ale tylko położeniem fundamentów pod budowę socjalizmu. Przekształcając Polskę w państwo silnie uprzemysłowane — dążyć on będzie do dobrowolnego przekształcania się gospodarki drobnotowarowej w gospodarkę socjalistyczną; aczkolwiek pod koniec sześciolecia istnieje jeszcze nadal, choć w znacznie zmniejszonym stopniu, sektor kapitalistyczny — tak w mieście, jak na wsi. Nastąpi wyrównanie dysproporcji w uprzemysłowieniu poszczególnych dziedzin i miast kraju. Powstaną — we wschodnich województwach — nowe centra przemysłowe. Na wsi rząd będzie popierał dobrowolne organizowanie się spółdzielni produkcyjnych — głównie przez dostarczanie traktorów i politykę kredytową oraz na 10 proc. obszaru ziemi uprawnej zorganizuje w majątkach państwowych wzorowe ośrodki kultury rolniczej.

ZNIESIENIE MIN. Z. O.

RADA Ministrów uchwaliła na wniosek min. Gomułki zniesienie odrębnego Ministerstwa Ziemi Odzyskanych, oraz odrębną administrację tych Ziemi. W ten sposób podkreślone zostało ich całkowite zagospodarowanie i zrepolonizowanie.

W świecie

CHINY

JESZCZE przed Bożym Narodzeniem padł Pekin — obecnie wojska obu rządów chińskich walczą o Nankin, dotychczasową stolicę Kuomintangu. W ten sposób Chiny Ludowe opanowały już prawie ten sam obszar, który w czasie wojny z Japonią znajdował się na tyłach frontu najeźdźczego pod kontrolą chińskiej partyzantki demokratycznej. Tereny te, po klęsce Japonii, zajęte zostały przez Kuomintang przy pomocy wojsk amerykańskich. Klęska militarna i polityczna Kuomintangu jest bardzo poważna. W Moskwie korespondenci prasowi liczą się z zajęciem całych Chin przez armię demokratyczną w ciągu najbliższego roku. Pisma londyńskie uważają za możliwy trwały podział Chin na dwa państwa. Prasa amerykańska natomiast pisze o konieczności stworzenia rządu koalicyjnego złożonego z antycyang-kei-szekowskich elementów Kuomintangu i z komunistów. W tej chwili nie jest prawdopodobnym, by komuniści chcieli iść na podobną propozycję, choćby tylko dlatego, iż niemal co dzień powiększa się liczba żołnierzy kuomintangowskich, którzy przechodzą na ich stronę. Wydaje się, że chłop chiński zmęczony dwudziestoletnią wojną ma już zupełnie dosyć tej bijatyki, pragnie pokoju za każdą cenę, a ponadto zawiedziony do reform dotychczasowego, który nie poprawił jego strasznie losu, ma pełne prawo wierzyć, że Chiny Demokratyczne będą mu lepszą ojczyzną. A nawet jeśli tak nie sądzi, nie ma żadnego interesu ginąć za stan dotychczasowy. Z oświadczeń amerykańskich wynika, iż USA zrezygnowała z Chin. Powstanie Chin Ludowych będzie kolosalnym przesunięciem sił politycznych w Azji, a więc i na świecie, natomiast kapitałom amerykańskiemu zamkną się poważne rynki zbytu. Upadek Chin Kuomintangowskich będzie wielką klęską polityczną Anglosasów.

ARESZTOWANIE PRYMASA WĘGIER

ARESZTOWANY został prymas Węgier kardynał Mindsz. Komunikat rządowy zarzuca Prymasowi zdradę stanu, działalność zmierzającą do obalenia republiki oraz spekulację walutową.

INDONEZJA

W POWODZI najprzeróżniejszych wieści z Indonezji — wylaniają się główne zarzysy nowej wojny, jaka tam wybuchła. Holendrzy napadli na Republikę Indonezyjską, zaarrestowali jej prezydenta Hatta, zajęli prawie całość kraju. Debaty w Radzie Bezpieczeństwa — oczywiście — nie dały żadnego rezultatu — walki głównie z partyzantami toczą się nadal przy czym rządcznik rządu Holandii w Radzie Bezpieczeństwa zapowiada ich rychły kres. Uderzenie Holendrów jest tym bardziej zastanawiające, iż poprzedziły je tajne rokowania między prezydentem republiki indonezyjskiej Hattą a rządem Holandii, w wyniku których ta ostatnia odzyskiwała swe suwerenne prawa na terenie Indonezji i właściwie decydować miała o całokształcie polityki i gospodarki egzotycznej republiki. Holendrzy mieli partycypować w rządzie republiki. Zaletność Indonezji od Holandii miała być większą, aniżeli dominiów od brytyjskiej korony. Mimo to Holandia zdecydowała się zaatakować i tak dalece opanować Indonezję, że do walki stanęły tylko oddziały partyzantkie, a prowizoryczny rząd republikański powstał jedynie na Sumatrze. Sądzić wolno, iż łączy się to ze sprawą Chin. USA i Anglosasi wycofując się z Chin będą starali się odczyć wieściwy kontynent azjatycki rodzajem „cordon sanitaire”, któremu to celowi służyć będą prawdopodobnie wyspy japońskie, filipińskie, indonezyjskie. Pisze się już nawet o możliwościach ewakuacji rządu Kuomintangu z Nankinu na Formozę. By jednak rolę tę wyspy mogły odegrać, muszą być całkowicie oczyszczone od wszelkich „niepewnych elementów demokratycznych” — stąd uderzenie Holandii na Indonezję, uderzenie osłaniające cyfrową przewagą Anglosasów w Radzie Bezpieczeństwa.

EGIPT

NIEPOKOJE jakimi wstrząsane są państwa Bliskiego, Środkowego i Dalekiego Wschodu uwiarydliły się w zamachu, dokonanym przez członka Bractwa Muzułmanów, religijnej organizacji, niedawno rozwiązanej przez władze egipskie, na premierze Egiptu, Nokrashim Paszy. Mordercą jest student medycyny, który następnie próbował popełnić nieudane samobójstwo. W związku z tym zamachem oczekuje się zmian w polityce Egiptu, szczególnie zagranicznej, odnośnie państw Środkowego Wschodu.

BERLIN

OGÓLNA sytuacja w Berlinie rządzonej przez dwa magistraty — bez zmian. Saperzy francuscy wysadzili w powietrze dwa znajdujące się w sektorze brytyjskim maszyny antenowe radiostacji, co uniemożliwi nadawanie na falach krótkich audycji przeznaczonych dla miasta Berlina. Posunięcie Francuzów ocenione jest jako szczytka wobec Berliner Rundfunk, nadającego swe audycje ze strefy radzieckiej.

FRANCJA

15 grudnia w torcie Chatillon słynny uczonek prof. Joliot-Curie, laureat Nobla, puścił w ruch pierwszy we Francji stos atomowy. Paryskie wydanie „New York Tribune” pisze, iż sukces członka francuskiej partii komunistycznej prof. Joliot-Curie przekreśla — już oficjalnie — monopol Stanów Zjednoczonych w dziedzinie energii atomowej. Prof. Joliot Curie oświadczył, że wyniki badań nad energią atomową będą publikowane w jak najszerszym zakresie. Tenże uczonek wyraził poza tym przekonanie, iż szereg innych krajów, przede wszystkim ZSRR jako posiadający stosowne zasoby surowcowe, mogły już osiągnąć konkretne wyniki w dziedzinie badań nad energią atomową. We Francji praca Komisarjatu Energii Atomowej przewidują trzy okresy. Pierwszy — puszczenie w ruch stosu atomowego — został właśnie zrealizowany. Drugi — do roku 1953 — obejmie uruchomienie następnego stosu. W trzecim winien powstać we Francji wielki ośrodek energii atomowej.

WĘGRY

W skutek nieporozumień w łonie partii drobnych rolników ustąpił ze stanowiska premiera Dinnyes, sprawujący tę funkcję od czasu ucieczki Nagyego; nowym premierem został przedstawiciel tejże partii Dobi.

W drugiej połowie grudnia nastąpiło połączenie dwóch partii chłopów, którzy w roku 1946 otrzymali ziemię w wyniku reformy rolnej. Nowa partia — Związek Chłopów Pracujących i Robotników Rolnych — popierać będzie rozwój spółdzielni produkcyjnej na wsi.

POLSKI PROTEST

Wobec nagminnie powtarzających się na terenie Niemiec Zachodnich kłopotów rewizjonistycznych skierowanych przeciwko obecnej zachodniej granicy Polski, co ostatnio ujawniło się w piśmie „Sojaldemokrat” (wydawany w brytyjskim sektorze Berlina) wywołującym do zerwania porozumień Poczdamskich i Jałtańskich odnośnie terenów polskich — rząd Polski wystosował do MSZ brytyjskiego notę protestacyjną. Wskazując na swobodę z jakiej korzystają pewne elementy niemieckie w swej antypokojowej działalności rewizjonistycznej oraz powołując się na zapewnienia rządu brytyjskiego, iż nie będzie występów takich, utrudniających asymilację przesiedleńców niemieckich, ich nowej ziemi, tolerował, rząd polski prosi o wyrażenie następujących zarządzeń:

1. zakazania działalności organizacji niemieckich przesiedleńców, które rozwijają działalność polityczną hamującą proces asymilacji przesiedleńców z niemiecką ludnością miejscową;

2. pociągnięcia do odpowiedzialności osób winnych wystąpień o charakterze rewizjonistycznym w stosunku do czterostronnych umów i decyzji sojuszniczych, dotyczących likwidacji skutków wojny.

NOWA KSIĄŻKA KOZŃIEWSKIEGO

W handlu księgarskim ukazała się nowa książka Kazimierza Kozłowskiego pod tytułem „Żywioty”. Jest to duży (450 str.) reportaż reasumujący całość odbudowy i repolonizacji Ziemi Odzyskanych. Jest to pierwsza tak obszerna i tak wyczerpująca książka tego typu, jaka ukazała się po wojnie. Próbuje ona być literackim świadectwem tego czynu, którego plastycznym świadectwem była WZO. Książkę tę niebawem omówimy obszernie.

GRABARZE FRANCJI I. GAMELIN

W książce pt. „Les Fossoyeurs” (Grabarze) Pertinax dał nam trzy pamflety. Pierwszy generalowi Gamelin, pierwszemu francuskiemu wodzowi naczelnemu podczas drugiej wojny światowej, następny Daladierowi, ministrowi wojny, trzeci premierowi Reynaud. Książka wydana w Ameryce w roku 1943, potem uzupełniona w 1944 i 1946, jest nadszywanym interesującym przyczynkiem do dziejów katastrofy francuskiej. Autor, znakomity dziennikarz francuski, nie jest i nie stara się być obiektywnym. Zakłada z góry, że kapitulacja była zbrodnia, a w każdym razie wielkim błędem i tezę swoją niemal nie dyskutuje. Gromadzi natomiast tak wiele faktów charakterystycznych, posługuje się tak wspomnianym stylem i znajomością życia politycznego Europy, że „Grabarze” są jedną z najciekawszych rzeczy, jakie przeczytać można i żałować tylko wypada, że dotąd nie zostały przetłumaczone na język polski. Parę momentów podajemy poniżej, za Pertinaxem, ujmując je w postać dowolnej chronologii.

1936. 7 marca. Okupacja zdemilitaryzowanej strefy przez Hitlera. Gamelin od 14 miesięcy wódz naczelny — nie sprzeciwia się projektowi okupacji Saary. Nie chce jednak przeprowadzić tej operacji za pomocą powołania trzech roczników — na co rząd się zgadza. Domaga się przygotowania mobilizacji powszechnej.

1938. Wrzesień. Kongres w Norymberdze. Daladier nie chce być skrępowany opinią generalów, nie zwoluje Najwyższej Rady Wojennej. Gamelin nie proszony o to udaje się do premiera w towarzystwie generalów George i Billotte, by oświadczyć, że w razie wojny zwycięstwo państw demokracji nie ulega żadnej wątpliwości. George w rozmowach prywatnych wyrażał wprost odwrotne zdanie. Nie odmówił jednak Gamelinowi poparcia jego optymistycznej deklaracji.

25 września po drugiej rozmowie Chamberlaina z Hitlerem (w. Godesberg) Gamelin idzie z Daladier do Londynu i wobec premierów obu mocarstw powtarza swoje credo. Bonnet, francuski minister spraw zagranicznych, podnosi raport gen. Vuillemina, dowódcy lotnictwa, wykazujący braki Francji w tej dziedzinie. Gamelin odpowiada, że nie należy brać częściowego nieprzygotowania za obraz całości i ręczy nadal za zwycięstwo.

1939. 14 marca. Pertinax prowadzi ciekawą rozmowę z Gamelinem. Jest to dzień okupacji Czechosłowacji. Gamelin stwierdza co Monachium kosztowało Francję: 100 dywizji niemieckich z 1938, z czego 50 słabo wyposażonych, wzrosło do 140 dywizji, o znacznie lepszej jakości. Z trzech dywizji pancernych, wnet będzie 10, poza tym 5 dywizji czołgów czechskich, od razu wzmocni armię niemiecką. Lotnictwo wzrosło z 3500 czy 4000 samolotów do 6000. Politycznie system Czechosłowacji — Sowiety wydaje się Gamelinowi znacznie mocniejszy od ewentualnego sojuszu Polska — Sowiety. Jeśli idzie o przygotowanie państw zachodnich, to tylko w dziedzinie lotnictwa pozycjonowano pewne postępy, zmniejszając stosunek do Niemiec z 1 do 10 w roku 1938 na 1 do 8. Mimo to Gamelin nie wątpi ani chwili, że wojna wybuchnie i to najpóźniej 20 września i że zakończy się klęską niemiecką.

3 września. Pertinax dowodzi, że należało zmusić Włochy do zajęcia stanowiska neutralności prawdziwej, albo nawet przyjaźni dla Francji. Gen. George sugerował tę myśl, nie została ona jednak przyjęta.

Rozpoczyna się wojna. Pertinax daje rozkaz o teorii wojny francuskiego sztabu generalnego. Gamelin jest zdania, że tylko defenzywa, zwłaszcza w betonowanych bunkrach, może dać zwycięstwo. Gen. George oświadcza, że teoria niemiecka „Panzerdivizionen” jest niebywałą pomyłką. Pertinax rozwodzi się nad wyjątkowość defensywy z powodu niemożności szybkiego transportu artylerii ciężkiej przy ofensywie. Nawet Weygand, dziedziec myślowy Focha, twierdzi, że rola lotnictwa jest grubo przesadzona, gdyż lotnictwo nie może okupować zdobytej przestrzeni. Poza tym defenzywa ma pozwolić na podciągnięcie stanu wywózenia armii francuskiej. Jest tylko 30.500 oficerów służby czynnej wobec 98.000 oficerów rezerwy, a z tych tylko 50.000

przeszło kursy, które do marca 1939 roku nie były obowiązkowe. Na 350.000 podoficerów rezerwy, tylko 30.000 było przeszkolonych na kursach. Na 115 dywizji, które Francja posiadała 10 maja 1940 roku, tylko (trzydzięci) było porządnie wyćwiczonych z okresu pokoju. De Gaulle doradzał w książce wydanej przed wojną zmechanizowanie generalnej armii, ale Weygand, gdy mu Reynaud książkę przesłał, odesłał ją z dopiskiem: „Książka, którą pan mi dał, jest interesująca, ale się z nią nie zgadzam”.

Po klęsce polskiej Gamelin odmawia wyciągnięcia jakichkolwiek dowodów z zastosowania nowej taktyki niemieckiej. Reynaud otrzymuje list od pewnego pułkownika, który donosi, że popełni on samobójstwo, gdyż może w ten sposób potrafił wzruszyć umysły, które nie zostały przekonane jego argumentami — że należy porzucić przestarzały system obrony. Reynaud nakazuje śledztwo i okazuje się, iż rzeczywiście pułkownik ów odebrał sobie życie — Pertinax jednak nie podaje jego nazwiska. Ale sztab francuski jest głuchy i ślepy. Nie może się wywołać spod obsesji anegdoty — zresztą prawdziwej — zakorkowania czołgów niemieckich idących na Wiedeni w przeddzień Anschlussu.

Następuje 8 miesięcy dziwnej wojny, którą Pertinax nazywa „aktywnym rozejmem”. Od września 1939 roku do kwietnia 1940 roku artyleria francuska wystrzeliła razem 304 tys. pocisków artyleryjskich, podczas gdy w 1918 roku miesięcznie zużytko wynosiło 5 i pół miliona. Na łącznych odcinkach istniała ciżba umowa zabraniająca obu stronom ostrzeżwania niektórych dróg. W Kefau most przedstawiał dziwny widok. Na środku mostu była barjakada, mająca symbolizować front. Po obu stronach żołnierze-rybacy — z jednej strony Francuzi, z drugiej Niemcy, siedzieli i łowili ryby na wędkę. Pawłen starszy generał powiedział Pertinaxowi: „Pułkownicy, którzy nie trenują swoich żołnierzy, którzy pozwalają im na bezczynność — to zbrodnia”. Jednocześnie prasa faszystowska miała wolny debit. „To prawdziwe nieszczęście — zawołała raz żona gen. George, zastępcy wodza naczelnego — że musimy się biec za Polskę”. „Cicho bądź — odpowiedział generał — walczymy za Francję”. „Ale — dodaje Pertinax — nikt nigdy tego głośno nie powiedział ani żołnierzom, ani krajowi”.

Z kolei Pertinax odpowiada na zastanawiające pytanie: jak Francja wykorzystała tych 8 miesięcy spokojnej wojny? Oto jego dane:

Samoloty: we wrześniu Francja ma 1.241 maszyn, z czego jednak tylko 494 naprawdę nowoczesnych. W chwili zawieszenia broni cyfra ta wzrosła do 3 tysięcy.

Czołgi: 2484 w dniu wybuchu wojny, 3.186 10 maja, wobec 3 do 4 tysięcy maszyn niemieckich. Jednak wyposażenie Francuzów jest gorsze. Brak systemów nieregularnie ułożonych czołgów. Brak artylerii samochodowej, która Niemcom oddała tak wielkie usługi. Radioaparaty działające tylko na 15 km. Armiaki strzelające tylko wzdłuż osi czołgu, podczas gdy Niemcy mają wieżęce pozwalające strzelać we wszystkich kierunkach.

Artyleria: Około 6000 armat kalibru 75, około 4000 kalibru cięższego 155, jednak amunicja pozostawała do zyczenia. Jeszcze w kwietniu 1940 roku sztab generalny nie zdecydował się czy wyrabiać granaty stalowe czy ze stopu stalowego.

1940 r. 3 kwietnia. Posiedzenie Komitetu Wojennego, Weygand czyta swój projekt stworzenia nowego frontu bałkańskiego, ze stu dywizji małych państw wrogich Hitlerowi. Anglicy nie zgadzają się, póki Włochy są niepewne i Quai d'Orsay, francuskie MSZ, przeciwnie. Gamelin nie mówi, tylko podnosi oczy w górę i wzrusza ramionami. Jest zdania, że Niemcy będą mieli w lipcu 175 dywizji, w jesieni 200, podczas gdy siły demokratyczne wynoszą tylko 100 do 118. Nie można odrywać w tych warunkach ani jednego oddziału z frontu głównego.

9 kwietnia Niemcy zajmują Danię i Norwegię. Na posiedzeniu Rady Najwyższej 28 marca w Londynie alianci zdecydowali się już na forsowanie Norwegii. Podobno Włoch, numerowy w hotelu gdzie Gamelin mieszkał, wykradł mu z szuflady plan ak-

cji. Na tejże naradzie, gdy Daladier przewidywał rychłą ripostę niemiecką zapytał Gamelin: „Czy pan będzie gotów?”. Gamelin odpowiedział mu: „Tak”. Jednakże ekspedycyjny korpus francuski do Norwegii został sformowany dopiero 15 kwietnia.

10 maja Niemcy wkraczają do Holandii i Belgii. Gamelin już w styczniu próbował skłonić Belgię do sojuszu, proponując przemarsz wojsk francuskich i ofensywę na słabe jeszcze wówczas prawe skrzydło niemieckie. W razie odmowy groził, że Francja nie pośpieszy na pomoc w wypadku ataku ze strony Hitlera. Pertinax jednak twierdzi, że pomoc dla Belgii była idée fixe Gamelina i nigdy jej nie porzucił. Przemawiało za nią skrócenie frontu o 80 km, pozyskanie 700 tysięcy żołnierzy króla Leopolda, a przede wszystkim grzech pierwszego dowódców francuskich: brak fortyfikacji na granicy franko-belgijskiej i niechęć przyjmowania bitwy na tej linii. Stąd już w dniu 10 maja 33 dywizje francuskie otrzymały rozkaz przekroczenia granicy belgijskiej za pomocą dnia opornego sąsiada. Kozłaz nakazywał zajęcia linii Antwerpia — Leodinum — Wavre — Namur — Givet, czyli drugą belgijską linię obronną — „nie przewidując odwrotu”, jak brzmiał rozkaz.

Pertinax stwierdza tu, że 112 dywizji, 2550 czołgów, wspaniałe fortyfikacje linii Maginota, to wszystko choć nie usprawiedliwia przesadnego optymizmu Gamelina, jednak nie pozwala przypuścić, by bez wielkich błędów strategicznych i taktycznych w ciągu pięciu tygodni armia francuska mogła przegadać istnieć. Jako pierwszy błąd Pertinax wymienia zbyt słabą armię pomocniczą wkraczającą do Belgii. Gdyby Gamelin znał lepiej dzieła Grönera, głównego komentatora planu Schlieffena, wiedziałby, że niemiecka armia uderzeniowa na prawym skrzydle musi być bardzo silna. Rzeczywiście wynosiła ona 80 dywizji. Gamelin pozostawiając niepotrzebnie silną przewagę nad nieprzyjacielem na linii Maginota, rzuca do Belgii tylko 33 dywizje.

Dalej rozróższa siły w ten sposób, że najbardziej północne skrzydło (armie Blancharda, angielska Gorta i Girata) jest nieproporcjonalnie silne w stosunku do długości frontu, który łoży ledwie 139 km. Tymczasem sąsiadująca armia 9 gen. Corapa, siedmioma dywizjami piechoty i dwoma kawalerii musi zająć przestrzeń 200 km. Atak zaś niemiecki poszedł właśnie w tym kierunku, nie zaś tak jak w 1914 roku, skrajnym prawym skrzydłem. Wreszcie Gamelin przecenił możliwości armii belgijskiej, sądząc, że na pierwszej linii obronnej wytrzyma do pięciu dni. W rzeczywistości na odcinku armii 9, nad Mozą, Niemcy byli już 10 maja, nim tam dotarła armia Corapa.

10, 11 i 12 maja cztery dywizje francuskie i dwie brygady kawalerii walczyły z armią czołgów niemieckich nad Mozą. 12 maja o godz. 2 po południu wycofuła się za Mozę i wysadzają mosty. Nazajutrz, 13 maja, czołgi niemieckie przekraczają rzekę. A więc — pisze Pertinax — generalowie francuscy Gamelin, George Billoite i Corap mieli aż trzy dni czasu aby zmierzyć orzawę przeciwnika na tym odcinku i zastanowić się nad przewidywanym przebiegiem wydarzeń. Charakterystyczne jest zachowanie sztabu niemieckiego, który wbrew zaleceniom Schlieffena i praktyce z 1914 roku — porusza się zachodzącym jakby osi, nie ruchomej na południu, a posuwającej się szybko skrzydłem północnym, tym razem uderzył i na południu wprost przed siebie odciążenią południowe skrzydło. Podobno 10 maja wieczorem powstał zniepokój w sztabach von Kleista Reinhardta i Guderiana gdyż pokazały się czołgi francuskie dążące z południa na północ. Było to jednak tylko słabe podsady. Gamelin nie posiadał żadnych poważnych rezerw.

13 maja o godz. 8 wieczór niemieckie dywizje pancerne otwierają 16 kilometrów wyrwę na froncie armii Hunzibera, na północnie od armii Corapa, koło Sedanu.

14 maja armia Corapa jest niemiernie rozpozyc i tu powstaje wyrwa 50 kilometrów. Tymczasem daleko trzeci armie na północy: Blancharda, Gorta i Giraud utrzymują swoje pozycje.

„15 maja o godzinie 745 wieczór — opowiada ambasador amerykański Bullit — zostałem wezwany przez Daladiera do ministerstwa wojny. Minister właśnie wracał z posiedzenia Komitetu Wojennego, był pełen opty-

mizmu. Gamelin natchnął go wiarą. Nagle odezwał się telefon. To naczelny dowódca wzywał ministra. Daladier słuchał machinalnie, nagle zawołał:

— Niemożliwe! Pan się mylił! To nie jest możliwe.

Gamelin donosił, że armia czołgów i oddziałów zmotoryzowanych przedała przez wyrwę na froncie i posuwała się wprost na stolicę. Daladier wołał:

— Trzeba ją zatrzymać! Atakujcie!

— Atakować? Ale czym? Nie mam rezerw. Między Laon a Paryżem nie mogę im nic przeciwstawić”.

Rozmowa się przedłużała i Amerykaninowi zdawało się, że twarz Daladiera wciąż się zmniejsza. Nareszcie powiedział:

— A więc to znaczenie armii francuskiej?

— Tak, to koniec armii francuskiej.

— Przede wszystkim, niech pan nikomu nic nie mówi. Nawet premiera nie zawiadomij.

Bullit opuścił ministerstwo o godz. 9 minut 5.

W Paryżu powstał niebywały popioch. Palono akta Ministerstwa Spraw Zagranicznych, generalowie żądali wyjazdu prezydenta i rządu. Jednakowoż kolumna niemiecka ku ogólnemu zdziwieniu nie posuwała się dalej na Paryż. Przy jednym zabitym oficerze znaleziono plan oskrzydlenia całej armii północnej. Rzeczywiście kolumna zmotoryzowana zajmując St. Quentin 18 maja, Amiens — 19 maja, Averbille — 20 maja, 22 maja Niemcy dochodzą do kamatu La Manche, cała północna armia wraz z korpusiem angielskim i armią belgijską jest oskrzydlona.

Generał angielski Gort twierdzi, że jeszcze 16 maja rano nie otrzymał rozkazu odwrotu i musiał się go domagać od gen. George'a, po-em Billoite, który był „koordynatorem” połączonych sił sprzymierzonych w Belgii. Rzeczywiście powołano do działania sztab generalnego francuskiego zdając się być nie potężny. Pertinax pisze wiele o zatrasowanych uciekinierami drogach i o porwanej przez wroga łączności — dwie kleski, które pamiętamy tak dobrze z wrześniowej kampanii. Kompletna apatia wodza jest jednak mimo wszystko niepojęta. Przecież pewien czas starano się zrzucić odpowiedzialność za klęskę na gen. Corapa, niedoświadczonego dowódcę armii, na odcinku którego nastąpiło pierwsze przełamanie frontu Pertinax nazywa go „kreaturą Weyganda”. Jednakże — dodaje — żadna winy Corapa nie są w stanie uniewinnić jego przełożeń.

W rzeczywistości niebywały wypad zmotoryzowanej armii niemieckiej, mógł równie dobrze skończyć się klęską jak zwycięstwem. Oto armia ta skroczyła gwałtownie na północ, przeszła 200 km mając przeciwnika zarówno ze wschodu jak i z zachodu, istniała więc możliwość zebrania rezerwy w którymkolwiek miejscu i przecięcia komunikacji tej armii z zapleczem. Francja dysponowała jeszcze wówczas ogromnymi siłami zarówno piechoty jak i czołgów, które jeszcze nie były zużyte w walce. Korytarz wyłobiony przez Niemców ma miejscami tylko 50 km szerokości. Wszystko to dzieje się na ziemi francuskiej, a więc wśród ludności wrogiej dla nieprzyjaciela.

Gamelin po pierwszym nieudanym z braku sił uderzeniu swoich rozbitych oddziałów pancernych 17 maja, musi czekać na wolne przesuwanie dywizji, w liczbie około 30, z południa na północ. 19 maja nowy front został jako tako rozciągnięty, a wewnątrz kotła armie belgijska, angielska i francuska, nie przestając się bronić od wschodu, stworzyły także linię przeciwną napierającym siłom zmotoryzowanym z wypadu niemieckiego na ich tyły. 19 maja o godz. 9.45 rano Gamelin wręcza gen. George, szefowi sztabu, swemu zastępcy, oraz dowódcy frontu od granicy szwajcarskiej do wybrzeża północnego, oraz dowódcy lotnictwa gen. Vuillemina „Instrukcję osobistą i tajną nr 12”. Ostre zdanie tej instrukcji brzmi: „Wszystko jest kwestią godzin”. Pierwsze oznacza, że Gamelin sam obejmuje dowództwo nad nakazaną operacją. Istotą tej operacji jest likwidacja drogi oskrzydlenia zachwałego wypadu niemieckiego spod Sedanu w kierunku północnym. Pozostaje jednak ważny problem czy Anglicy i Belgowie zgodzą się na działania, ryzykując odcięcie od morza?

20 maja rano rząd angielski wysłał gen. Ironside do kwatery Gorta. Obaj stają na stanowisku, że armie francuska Blancharda, angielska i belgijska są jakby w zamkniętej twierdzy i jedyną możliwą taktyką jest próba przebicia się na zachód. 20 maja wieczorem jest wyznaczona konferencja z dowódcą całej grupy, gen. Billoite w celu koordynacji uderzenia Billoite jednak nie stawiał się na umówionym miejscu. Oto 19 maja wieczorem Gamelin został zdymisjonowany, Weygand objął naczelne dowództwo i pierwszym jego rozkazem było wstrzymanie już rozpoczętego wykonania instrukcji swego poprzednika. Rozkaz atakowania ponawia dopiero 22 maja, a wtedy już jest za późno. W gruncie rzeczy Pertinax sugeruje, że Weygand nigdy nie dążył w stu procentach do zniszczenia oskrzydlającego ramienia hitlerowskiego. Raczej pragnął aby oskrzydłone armie Blancharda i Gorta jak najdłużej skupiły na sobie gros sił niemieckich — póki nie uda mu się stworzyć silnej linii nad Sommą. Dzięki swemu konfederatorstwu stracił armie oskrzydłone, a słaba linia nad Sommą została potem z łatwością przedziurawiona.

24 maja Eden, ówczesny minister wojny, telegrafuje do Gorta, że nie sądzi aby oskrzydłone armie miały otrzymać odsiecz z nad Sommą. „Z tego punktu widzenia bezpieczeństwo angielskiego korpusu winno być pańską główną troską”. Oznaczało to nie tylko ewakuację północnego kotła, ale i koniec wspólnego dowództwa franko-angielskiego.

27 maja o północy król Leopold kapitulował, odkrywając skrzydło północne kotła.

26 maja obwód otoczony przez Niemców wynosi 200 km. W ciągu trzech dni Blanchard i Gort zmniejszają obwód do 90 km. Jednakże obie armie dążą do celów różnych: Blanchard wykonuje rozkazy Weyganda, które nakazują trzymać się jak najdłużej, nie ewakuować drogą morską, odciążać kontratakami odbudowę frontu nad Sommą. Gort nie kryje się z zamiarem ewakuacji. Już 28 maja 10 tys. ludzi przejeżdża do Anglii. 3 czerwca, wśród ciągłych klótni, wzajemnie oskarżania a nawet walk, przyczółek Dunkierki przedstawia istnieć. 224 tys. Anglików i 112 tys. sprzymierzonych, przeważnie Francuzów, zostaje przewiezionych do Anglii.

Przejdźmy teraz do charakterystyki Gamelina. Pertinax nie waha się napisać, że był to niewątpliwie najinteligentniejszy ze wszystkich dowódców francuskich, którzy jego stanowisko zajmowali lub będą zajmować. Bystrość myśli, jasność wykładu, znajomość przedmiotu sprawiał, że w jakimkolwiek gronie się znajdował, zawsze panował nad nim. W dniu wybuchu wojny miał 67 lat i był w pełni sił fizycznych i umysłowych. Gdzieś są więc jego słabe strony? Lord Gort mawiał o nim, że nie jest on a fighting man — człowiek walki — i to Pertinax wykazuje jako jego największe nieszczęście. A przecież za młodu, w 1918 roku potrafił utrzymać 9 dywizję w walce mimo zupełnego niemal okrzędnia. Nie brakło mu też wyobraźni, skoro, jako oficer operacyjny sztabu Joffre'a był jednym z twórców planu kontrataku nad Marną. Oto, twierdzi Pertinax, z latami człowiek ten się zmienił, przestał być żołnierzem, stał się funkcjonariuszem. Zawsze, aby pokryć swą odpowiedzialność, umiał wydobyc kopię jakiegoś doskonałego listu wysłanego wtedy a wtedy do premiera, do ministra wojny, do tego czy innego podwładnego. Zawsze wykazywał co należy zrobić. Nigdy nie umiał przeformować, by to właśnie zrobiono. Wszystko przewidział, wszystko obliczył, wszystko puścił w ruch — „a siódmego dnia odpoczął” — pisze Pertinax.

Przypominam sobie, że Foch odzyskał tytuł „koordynatora”, którym miał być, nim został naczelnym wódzem sił koalicyjnych w 1918 roku. Otóż Gamelin ten właśnie tytuł i funkcję koordynatora upodobał sobie szczególnie. Otrzymał ją też w swojej nominacji 24 maja 1938 roku. W jego nominacji oznaczała ona tylko koncepcję, nie zaś wykonanie. A przecież w pierwszym paragrafie ustawy jest właśnie mowa o wykonaniu najwyższego dowództwa. Wykonywał dowództwo, to znaczy wydawał rozkazy i aby dobić nieszczęsnego generała Pertinax przypomina maksymę Napoleona: Sztuka wojenna jest sztuką prostą — polega cała na wykonaniu”.

O LITERATURZE ROSYJSKIEJ

Zarys poniższy nie ma żadnych aspiracji i pretensji do jakiegokolwiek wyczerpywania którejkolwiek z poruszonych pozycji: ma dać z natury rzeczy tylko ogólne pojęcie o fazach rozwojowych literatury rosyjskiej i jest przeznaczony dla czytelnika polskiego, który się mało z nią stykał, a który powinien wiedzieć o przeszłości literackiej narodu rosyjskiego, choćby tylko dlatego, że przeszłość ta ma wiele styczności z literaturą i kulturą polską. Dobór pozycji jest własnością autora i jego tylko obciąża.

Chciałbym zacząć od rosyjskiej literatury ludowej: ma ona do tego prawo, bo jest sama w sobie zjawiskiem pod względem literackim ciekawym i niepowtarzalnym. Dochowało się z niej sporo i z liryki, i z epiki. Kiedy się pamięta o zbiorze polskiej pieśni ludowej, wydanej przez Bystronia, ma się wrażenie ubóstwa naszej twórczości ludowej w porównaniu z liryką ludową rosyjską, zwłaszcza zaś z epiką, której nam brak całkowicie. Może była, ale zaginęła. Pomijając pieśni pracy i obrzędowe, chciałbym zwrócić uwagę na rosyjską pieśń zbójczą, z pieśnią „Nie szum, matko, zielona dąbrowo“, która „bierze“ czytelnika polskiego nastrojem, zblizonym do naszej pieśni góralsko-zbójnickiej, „japosikowej“, choć w akcentach lirycznych bezwzględnie nad nią góruje.

Bogata jest epika ludowa, bylina, osnuta na tle walki z Tatarami i Połowcami, z boha-

(dokończenie ze str. 4)

Gamelin otoczył się w sztabie generalnym takimi samymi jak on mandarynami, dalekimi od zapachu prochu i od pasji walozentów i zwyciężania. „Rozpedź pan tę bandę profesorów — powiedział Weygandowi jeden z oficerów w dniu, gdy obejmował on dowództwo — inaczej Francja jest zgubiona“. Ale Weygand wzruszył tylko ramionami.

Pertinax nie ceni wcale wyżej Weyganda od Gamelin. Dopuszcza myśl, że Gamelin, pozostając wodzem, byłby jednak zorganizował walkę w Afryce północnej, miast kapitulować A Weygand 17 maja, a więc w dwa dni przed objęciem dowództwa, miał powiedzieć że wojna jest przegrana i gdyby Niemcy dali korzystne warunki...

Pertinax przypomina ciekawe świadectwo Focha: „Było to w 1914 roku — opowiadał często pogromca Niemiec wilhelmowski. — Weygand dowodził jednym z pułków kawalerii w Nancy, należącym do 20 korpusu, którego zostałem dowódcą. Wezwałem go do siebie i szybko pożegnałem. Instynctywnie wyczuwałem, że jest on niezmiernie mi obcy. Zacząłem się zastanawiać. Dlaczego właściwie tak mi się nie podobał? Oto trudno sobie wyobrazić człowieka bardziej różnego ode mnie pod względem umysłu, usposobienia, temperamentu. Kto wie, czy nie byłby dobrym uzupełnieniem dla mnie. Przydałby mi się ktoś drobniutki, pedant typu niemieckiego. I cóż powiecie? Żadna współpraca nie była nigdy szczęśliwsza. Pracował zawsze bezbłędnie“.

Miażdżąca charakterystyka zarówno Gamelina jak i Weyganda tłumaczy Pertinax, dlaczego mimo wielkiej klęski nawet Francja nie odmówiła w całej owej kampanii ani jednego sukcesu, choć podczas równie przegranej wojny 1870/71 roku bywały i zwycięstwa.

F. L.

terami o wyraźnie zindywidualizowanych obliczach duchowych, którzy czarują wyobraźnię czytelnika nie tyle może swoimi nadludzkimi wymiarami fizycznymi, ile dziełami wyśiłku duchowego miary niezwykłej. Stworzyła swą bylinę również i republika nowogrodzka, kwitnąca ekonomicznie i kulturalnie, bo żyjąca — podobnie jak i nasz Gdańsk — z zasobnego zaplecza handlowego. Bylina staroruska, która trwa do końca w. XVI, w całości swej to jakby rosyjska Iliada, która się nie doczekała swego Homera, aby zebrał w jedną całość poszczególne jej rapsody bylinowe i nadał im charakter jednolitego, o ciągłej narracji wielkiego utworu epickiego. Może to skutek wyobraźni tego narodu, która była już plastyczna, ale za mało jeszcze konstruktynna. Rozlewisko bylinowe sączy się jeszcze w w. XVII, dając w rezultacie ludową twórczość historyczną. Sporo z pieśni historycznych czerpie natchnienie z czasów polskiej interwencji zbrojnej w Moskwie za czasów Łezedymitra i Maryny Mniszchówny. Nawiasowo dodam, z tych samych czasów i na tym samym tle, powstała i u nas dość bogata twórczość literacka, oczywiście „oficjalna“, nie ludowa (pisał o niej Teodor Wierzbowski).

Po okresie twórczości ludowej, zbiorowej, przychodzi czas na twórczość indywidualną. Zaczynają się wyłaniać indywidualności twórcze. W tzw. okresie kijowskim (X — XIII) na tle twórczości religijnej, dość amorficznej, kształtującej się pod wpływami bizantyńskimi, widać dwie osobowości twórcze. Jedną jest kronikarz Nestor nie tylko kronikarz, sprawozdawca zdarzeń historycznych, ale i patriota, który ma poczucie jedności swej ojczyzny i boleje nad jej rozdrobnieniem. Wspominam o tym dlatego, że w tym wypadku przypomina naszych kronikarzy. Historiografii na naszą miarę Ruś się nie dochowała. Ale za to zdobyła się na utwór poetycki, którym się nie możemy poszczycić. Jest to „Słowo o pułku Igora“, opiewające nieszczęsną wyprawę przeciw Połowcom księcia nowogrodzkiego - siewierskiego Igora (1185). Autor (z nazwiska nieznany) stworzył utwór o wysokiej wartości poetyckiej.

Chanson de Roland starej Rusi, nie ustępujący chyba pieśni starofrancuskiej. Na utwór o podobnej klasie literackiej nie zdobyła się Ruś w całym następnym swoim okre-

sie literackim, nazywanym moskiewskim (XIII — XVII). Warto tu wspomnieć o burzliwej korespondencji Iwana Groźnego z rebelianckim księciem Kurbskim, który jako uciekinier wypisuje z Litwy carowi zadzierzyste epistoły. Car nie był mu dłużny, a jego odpowiedzi mówią wiele o zdolności literacie na tronie moskiewskim. Polak czyta ten polemiczny duet z takim samym zainteresowaniem, jak niewiele później — dwu zajadły wrogów Diabła Stadnickiego i Łukasza Opalińskiego.

Rosja nie przeżyła twórczości najwięcej w Europie płodnego w skutkach natury kulturalnej okresu renesansu. Ma tu swoją wymowę jarzmo tatarskie, jak i odcięcie od Europy. Nie wiadać w Rosji nawet tego, co obserwujemy w Polsce siedemnastowiecznej, już odcinającej się od wpływów kulturalnych Europy Zachodniej: samorodności literackiej, wolnej od strychulca kanonów obcych. Podobną nie byłoby w Polsce. Wacława Potockiego, gdyby był słuchał uważnie i posłusznie, czego uczą francuscy czy włoscy mistrze literacy, tak uważnie, jak to w swoim czasie czynił Jan Kochanowski. Duchowy grunt rosyjski okazał się za jałowy do wyprzedzenia z samego siebie, automatycznie żywotnych płonek literackich.

Trwa tak do czasów Piotra Wielkiego, który europeizując Rosję na wielką skalę, sięgnął do Zachodu ponad naszymi głowami. Co prawda, zasłużyliśmy sobie na to, trwając w błogostanie kulturalnym, nie odnawiając i nie pomnażając swego dobitku kulturalnego w końcu wieku XVII i na początku XVIII. Piotr Wielki wolał czerpać z żywo bijących źródeł na Zachodzie. Łatwo mu poszło z przystosowaniem Rosji do Zachodu pod względem technicznym. Łatwo było ostrzyć brody bojarom i zedrzeć z nich sara-fany. Jak wiadomo, trudniej jest na odcinku kulturalnym wykonać pracę na rozkaz. To też literatura czasów Piotra W. jest w dalszym ciągu literatura polską pisaną po rosyjsku. W okresie Katarzyny sytuacja zmienia się o tyle, że literatura rosyjska jest literaturą francuską, pisaną po rosyjsku. Przyjmują się charakterystyczne dla klasycyzmu francuskiego gatunki literackie: oda, elegia, satyra, komedia, poemat heroikomiczny, epopea, powieść. W każdym razie dokonał się proces sekularyzacji literatury rosyjskiej, która ma charakter re-

ligijny od wieków. Kantemir jednak (z pochodzenia Rumun) pisze w dalszym ciągu swoje satyry sylabicznym wierszem polskim, choć już Łomonosow i Trediakowski wyświecili go na korzyść tonicznego wiersza polskiego.

Do końca w. XVIII literatura rosyjska wchodzi już w regularny kontakt z literaturą całej Europy. Po okresie „gallomanii“ klasycznej przechodzi przez okres „germanomanii“ romantycznej, poprzedzonej normalnym wstępem sentymentalizmu z Żukowskiego „Biedną Liżą“.

Na widowie europejską wprowadza literaturę rosyjską trójca romantyczna Aleksander Puszkina, Mikołaj Gogol i Michał Lermontow. Puszkina i Lermontow musieli się otrząsnąć z bajronistycznego nalotu, zanim doszli do samowiedzy poetyckiej, do ukazania własnej wizji świata i własnego oblicza poetyckiego. Gogol osiąga pełnię epicką swej twórczości poprzez romantyzm zabarwione, fantastyczne opowieści ukraińskie. Oni kładą podwaliny pod dalszy rozwój literatury rosyjskiej w w. XIX zarówno w dramaturgii („Borys Godunow“ Puszkina, „Rewizor“ Gogola), jak w epice („Eugeniusz Oniegin“ Puszkina, „Martwe dusze“ Gogola, „Bohater naszych czasów“ Lermontowa) i w liryce (liryka osobista i społeczna Puszkina i Lermontowa). Przez nich dokonano się wkroczenie literatury rosyjskiej na tory wnikliwej wizji rzeczywistości zewnętrznej, jak i subtelny wyraz stanów duchowych człowieka. Zaczyna się w ich „romantycznej“ twórczości okres realizmu po zwyciężeniu manieri czy pozywianym spojrzeniu na rzeczywistość rosyjską u Gogola, jak i w pozytywnych akcentach twórczości Puszkina.

Nie bez znaczenia są akcenty społeczne romantyki rosyjskiej. Wskazę tu na nowelę Gogola „Szynel“, jako przykład traktowania przez romantykę spraw społecznych. Nowela ukaże w zwartej formie dramat biednego, szarego człowieka: jego niewielkie zaiste, ale święte aspiracje życiowe, które się rozbijają o twardą brutalność środowiska. Jest jednym z najpiękniejszych utworów literatury światowej, łączącym w drobnym wymiarze bezkonkurencyjny artyzm z głębią moralnego na świat spojrzenia. A któż się nie dopatry akcentów społecznych w „Martwych duszach“? Literatura „demaskują-

ca“ rzeczywistość („obliczitel-naja literatura“) tutaj ma swój początek zanim się nie rozwinie w drugiej połowie w. XIX. Reprezentuje ją w okresie romantycznym obok Gogola również i „Gorie ot uma“ Gribojedowa.

„Szynel“, „Staroświeccy obywatel ziemscy“ i in. utwory nowelistyczne Gogola rozpoczynają start rosyjski „drobnego gatunku literackiego“, który pod piórem Czechowa (sekunduje mu Korolienko) osiągnie niebywałe w literaturze światowej wyżyny. Do przedstawicieli tego „drobnego gatunku literackiego“ zaliczyłbym również w pierwszej połowie w. XIX genialną bajkę Kryłowa i pełną naturalnego wdzięku lirykę ludową Kołcowa. Poznał się na nim Bieliński, jak zresztą na wielkości romantyki rosyjskiej, a jego ocena utrzymała swe znaczenie do czasów ostatnich. Trafność i wnikliwość dzieła sztuki Bielińskiego przyspojrzenia krytycznego na pomina mi naszego Zygma. Krasieńskiego (na jednej z Bielińskim kształcili się filozofii, choć do innych ostatecznie doszli wniosków światopoglądowych), jak i Juliana Klaczka. Jakież płytki przy Bielińskim jest sąd o romantyzmie rosyjskim, który wyszedł z kół renegatów polskich Bułharynia i Senkowskiego, a który nazwał Gogola „małoruskim Paul de Kokiem“, jego zaś „Rewizora“ — brudną farsą!

Parę słów o stosunku tej literatury do Polaków. Wyznaczają go nazwiska Puszkina, Gogola i dekabrystów. Pisano u nas o tym już wiele. Dodam parę uwag uzupełniających. Liberalna, postępową Rosja uważała sprawę polską za swoją, a cara — za wspólnego wroga Polski i Rosji. Dali temu wyraz dekabryści i Puszkina z czasów swej przyjaźni z Mickiewiczem.

Jak literatura polska wedle trafnego określenia Krasieńskiego wyszła z Mickiewicza, tak i późniejsza literatura rosyjska wyszła niewątpliwie z wielkich swoich romantyków — ich powieści, dramatu i liryki. Powieściopisarstwo rosyjskie drugiej połowy wieku dziewiętnastego kształci się — niezależnie od tego — na wielkich osiągnięciach powieści zachodniej. Wielcy powieściopisarze rosyjskiej „szkoły naturalnej“ mają nawet tych samych mistrzów, co i nasza powieść realistyczna: Dickens, Thackeraya, Balzaca, Georges Sanda. Rozkwitają rzetelne i wielkie talenty Turgeniewa, Gonczarowa, Dostojewskiego („prawie skrzydło“), Sałtykowa - Szchedrina, Hercena, w liryce Niekrasowa („skrzydło lewe“).

Prawica jest liberalna, ale też jednocześnie konserwatywna, jeżeli chodzi o metodę przetwarzania życia rosyjskiego na „nowy ład“. Wymieńmy jako jego przedstawiciela Turgeniewa, który jest przeciwnikiem działania rewolucyjnego a zwolennikiem tzw. „postępowości“, to jest stopniowości, ewolucyjności. Choć był niby konserwatystą, nie mógł wytrzymać w atmosferze ówczesnego życia rosyjskiego i wolał oddychać swobodną aurą Niemiec, Francji czy Włoch.

Dnia 9. I. 1949 r. o godz. 17-iej w sali parafialnej przy ulicy Łazienkowskiej 14 (dojazd trolleybussem 52) odbędzie się

WIECZÓR AUTORSKI JANA DOBRACZYŃSKIEGO

Wstęp bezpłatny

Prawda wizji poetyckiej patronuje przedsięwzięciu literackim tego prawicowego odłamu literatury i prowadzi ich konsekwentnie do negacji typu życia burżuazyjnego. Tak było przecież i u Gogola, który w swojej wierze politycznej był raczej „retrogradem”. Rozkład dawnego typu życia społeczne go w Rosji spotykany u Gonczarowa („Zwykła historia”, „Obłomow”), u Dostojewskiego („Bracia Karamazow”) i u Turgeniewa („Szlacheckie gniazdo”, „Rudin”, „Ojcowie i dzieci”). W sposób naturalny zjawia się u nich „szary człowiek” gogolowski, wydobywający się na powierzchnię życia właśnie dzięki swoim dodatnim walorom.

Najcenniejszą jego wizję daje Turgeniew w „Notatkach myślowych”. Pisz on ten utwór, składający się z szeregu opowiadań o chłopie rosyjskim, bez żadnego „zamówienia społecznego”, a jednak z wielkim zrozumieniem podjętej przez siebie problematyki społecznej, która się staje integralną częścią składową jego wizji świata w tym utworze, wizji poetyckiej. Rezultat jest taki, że najzjadlejszy chyba formista nie znajdzie nic w tym utworze, co nie byłoby zgodne z charakterem i właściwościami utworu sztuki literackiej. Tak jest zresztą w całym powieściopisarstwie Turgeniewa. To majster czystej wody, jeżeli chodzi o kompozycję utworu literackiego, o zharmonizowanie jego części składowych ze sobą, o właściwą i trafną ekspresję wizji literackiej. O jego utworach można powiedzieć słusznie: ani nie dodać, ani nie ująć. Niech czytelnik sprawdzi słuszność tego twierdzenia, biorąc do ręki choćby tomik „Wiosenne wody”, wydany ostatnio przez „Wiedzę”. Chętnie przyznałby Turgeniewowi prymat w powieści rosyjskiej całego wieku dziewiętnastego, nawet łącznie z Tolstojem.

„Lewe skrzydło” literatury tego okresu nie jest obsadzone przez równie mocne talenty. Naczelne miejsce zajmuje Saltykow - Szczedrin, który jako satyryk życia rosyjskiego uważany jest za następcę Gogola. Zwolennikiem Saltykowa - Szczedrina był u nas nawiasem mówiąc, Żeromski. Sekunduje mu w lirycie rewolucyjnej Niekrasow, w dramacie — Ostrowski. Jego dramaty weszły ostatnio na sceny polskie. I zupełnie słusznie. To zdolny kontynuator Gogola i Gribojedowa w problematyce społecznej i w sposobie jej ustawienia scenicznego. Straszne jest panowanie w życiu takich ludzi, jakich nam ukazuje Ostrowski: nie ma więc czego żałować, że bezpowrotnie zeszło z powierzchni życia to jego „ciemnoje carstwo” wilczych typów.

Literaturze pięknej „dema-skującej” rzeczywistość, towarzyszy rosyjska publicystka Hercena i Czernyszewskiego („Bwłoje i dumy”, „Co czynić?”), od której mógłby się nauczyć tego lub owego z problematyki „literatury czystej” niejeden z jej dzisiejszych zwolenników.

W „Wieży z kości słoniowej” zamknęła się grupa przedstawicieli poezji czystej, jak Fiet-Szenzin, Maikow, Tiutczew. Do nich należy zaliczyć współczesnego im poetę — A. Tolstoja.

Ohydne, zachłystujące się wycie syreny, płynęło w ciepłym i gęstym mroku nad otrodami Mokotowa. Stefan odwrócił ze wstrętem twarz od niezastłoniętego jeszcze okna, za którym białe, krótkie błyski rozdzierały ciemny horyzont ponad dachami kościoła i drzewami parku. W kuchni matka i brat młodszy w nerwowym rozpamiętaniu zbierali się już do zejścia na dół.

Stefan zmierzał do nich, gdy w ciemnym przedpokoju zatrzymał go ostry dźwięk dzwona. Stał się zneruchomiony, czując napływającą krew do twarzy, szum jej w uszach, niespokojny szelest serca. Po chwili zbliżył się cicho i odezwał matowym głosem. Nie było odpowiedzi. Odezwał się głośniejszym głosem. Silniejszym, daleki blask padł na twarz młodego mężczyzny.

— Otworzył. W sieni było czarno, tylko młda lampka żarzyła się u góry osłonięta niebieskim papierem. Silniejszym, daleki blask padł na twarz młodego mężczyzny.

— Słucham? Proszę pana?...

— Pan mnie nie poznaje?...

Jestem... Szymon. Znajomy Kazia. Mam tu karteczkę. Może na chwilę...

Stefan bez słowa wpuścił młodego człowieka do przedpokoju i skierował się z nim w głąb mieszkania.

— Mamo, Józek — odezwał się w stronę kuchni — schodźcie na dół, zaraz idę, za chwilę...

Zatrzasnął drzwi do przedpokoju. Młody mężczyzna spojrzął na Stefana i podał mu małą, zwiniętą kartkę. W blasku zapalnika Stefan czytał.

„Stefku! Kieruję do Ciebie Szymona. Musisz go przyjąć, przesła przez pamięć Kazia — kilka dni tylko, później zgłoszę się po niego. Halina.”

Stefan kręcił bezmyślnie papierek. Teraz sobie przypominał. Mały sklepik na Puławskiej, Fikcyjne zajęcia Kazia, jako ekspedienta, sprzedającego papierosy, zeszyty, obrazki.

Szymon. Chudy, mizerny Żyd, inteligentny i spokojny, wtedy jeszcze przychodził korzystając z jakiegoś ausweisu, iakoś się wydostawał z ghetta. Potem już go u Kazia nie spotykał.

Rozmowy. Rozmowy o wojnie i o przyszłości. O sprawach dalekich i bliskich, o Sorelu i Mar'sie, o syndykalizmie rewolucyjnym i socjalizmie. Rozmowy, których Stefan był wtedy już tylko dość biernym słuchaczem.

To ten Szymon. Miał na sobie jakiś lichy, wypłowiały płaszcz. Wyglądał przerażająco mizernie, był bledy i zaniedbany. Stał spokojnie i wpatrywał się w Stefana ciężkim, nieruchomym spojrzeniem.

— Ma pan papiery?...

— Nie mam.

Stefan milczał. Czuł od pierwszego momentu uświadomienia sobie o co chodzi, niemożliwość powzięcia jedynej decyzji rozsądnej i stanowczej, oddalającej to wszystko, co groziło. Brak jakiegokolwiek wyjścia z sytuacji — tym bardziej wobec pory spóźnionej — już po 9-ej, po godzinie policyjnej. I jeszcze ten alarm.

Zresztą czuł, że nie ma wprost odwagi. Nie ma siły odmówić. Był całkowicie zakoczony, zdany na łaskę sytuacji.

Bogdan Ostromecki

To, co wreszcie postanowił, nie było właściwie żadną jego własną decyzją. To fakty zdecydowały. Fakty narzuciły Stefanowi postępowanie. Poddał się im z poczuciem fatalizmu, ugiął się przed gniołącą go z góry przemocą losu, z przekonaniem, że ustępuje czemuś na co nie ma najmniejszego wpływu.

Zejdźmy na dół. Do sieni. Jest ciemno. A tu może być niebezpiecznie. Trzeci piętrowy.

W sieni na dole i na schodach wiodących do piwnicy kotłowała się gromadka ludzi. Wyglądano na podwórzu, uchylano drzwi na ulicę. Nagle milgoty otwierały wysokie ciemności.

— Macają niebo — odezwał się Szymon.

Rozległy się dalekie, ciężkie wzbuchy i tepe stęknienia artylerii przeciwlotniczej. Potężny jęk wirował górą nad miastem.

Stefan z niepokojem usłyszał znów, jak Szymon odezwał się do stojącego obok dozorca prosząc go o ogień. Po chwili nikły czerwony blask rozświetlił jego mizerną twarz.

Dozorca — był chyba pewny. Młody człowiek, ucziwy i spokojny — chyba z jego strony, gdyby nawet poznał... Ale nie wiadomo przecież kto tu jest obok, co to za ludzie...

Tymczasem ponura luna palących się gdzieś pod niebem żyrandoli poczęła przesuwając się drżącą poświata pościanie. W tym przechodzącym blasku ukazywały się i nikły, ostre rysy Szymona. Stefan stał tuż przy nim, wpatrzony w przesuwające się jak po purpurowym ekranie kraty jakichś okien, futryn, w czarne pochylające się krzyże, które przepływały skądś i waliły się na niego, na Szymona, na stojących pod ścianą.

Po jakiejś półgodzinie przeciągły, jednostajny ryk przyniósł nareszcie ulgę. Trzasnęły drzwi na klatkach schodowych, zrywały się nawoływania i krótkie rozmowy. Dom cichł powoli. Czarna, okupacyjna noc zaciągała pochmurne płachty nad ziemią.

Na górze, stojąc już w pustawym pokoju, w kręgu ostrego i martwego światła karbidówki — sam na sam z Szymonem — Stefan odezwał znów ciężar gniołący go z tą samą niezłomną, nieustępliwą siłą. Nie było wyjścia. Nie czuł nawet wstydu, że tak to wszystko przeżywa, nie nazywał swego stanu, nie miał jeszcze świadomości zła, które wżarło się w niego i oplatało. Ponad wszystkim górowało tylko poczucie fatalności i rozpaczliwe zeznanie się myśli strawków nadziei, widoków możliwego jakiegokolwiek ratunku.

Rozmowa potoczyła się jakoś bezbarwnie i niewyraźnie. Stefan, skropowany i załamany nie umiał się zdobyć nawet na sztuczne ożywienie, na naturalność.

Trzeba było jednak zająć się gościem. Urządzenie noclegu, kolacja — rozproszyły nieco posępną atmosferę. Tej nocy matka i brat Stefana musieli pomieścić się w kuchni. Stefan nie zdawał sobie sprawy czemu dążył do tak ścisłej izolacji gościa. Nie przedstawił go na-

wet swym bliskim, pozbył ich pytania lada jakim wykretem. Może wpłynęła na to obawa konieczności zbyt długich wyjaśnień, znał tę rodzinną nerwowość, wyczuł zresztą w ich spojrzeniach to wszystko, co gniołło jego samego — i jak-gdyby wyrzut, że oto on, o ironio! — działał tak zdecydowanie, stanowczo — że przesądził sprawę — nawet jej im nie przedstawiwszy.

Szymon opowiadał swe przeżycia. Początkowo w ghetcie powodowało mu się nieźle. Zarabiał jakoś na życie, miał małe mieszkanie. Później było już coraz gorzej, wobec malejących możliwości komunikowania się z miastem. Ułatwiono mu ucieczkę dość wcześnie. Tam szalała już śmierć, nie wybierająca teraz osób, grup, ulic. Przewidywano rychły ostateczny koniec. Wydostał się przez miejsce któregoś przy pomocy różnych zabiegów i fortelów udało się go przetransportować do miasta. Narazie zajął się nim znajoma Kazia i Stefana — pani Halina. Czekał na kontakt. Obiecano mu ją dostarczyć w najbliższych dniach.

Oczekiwał też wiadomości od żony. Wkrótce po rozstaniu się miała przedostać się również na tę stronę, w inny sposób. Pracowała w fabryce czynnej jeszcze dotychczas, położonej tuż przy murze. Stamtąd grupa operująca na tym odcinku, miała ją wydostać i przeprowadzić. Znał adres, pod którym mogła znaleźć się żona, już po tej stronie. Było to niedaleko ghetta, ale ruch tam nie był, jak dotąd, jeszcze zamknięty. Kazano mu czekać wiadomości. Narazie nie było jeszcze powodu do niepokoju. Wiadomość mogła nadejść dopiero pojutrze.

Stefan podtrzymywał rozmowę, pocieszał gościa, starał się być uprzejmy — narzekał, że nie może mu zapewnić wygod, mimochodem podkreślał wciąż, że oprócz kuchni mają tylko ten pokój, że mieszkają tu we troje...

Szymon gotów był nocować byle gdzie — nawet siedząc przez noc na krzeselku.

Gość napomknął o Kaziu. Kazio — to była postać łącząca teraz zbiega i tego, który udzielił mu schronienia. Stefan odczuwał żelazny ucisk, jakim zawarły się wokół niego słowa: „Przez pamięć Kazia...”. Te słowa trzymały go w sztywnej obręczy — ale odczuwał ich złowrogą przemoc, taką samą, jak zjawienie się Szymona tutaj, bez dokumentów, właśnie teraz, tak nagle, kiedy nie można było nic przygotować i uprzedzić, kiedy nie było już żadnego wyjścia, ani też możliwości wybiegu — nawet drogą jakiegokolwiek wykretem przed samym sobą...

Kazio — oto wrócił po dwóch latach, przypomniał siebie, jak by jeszcze stamtąd, jakby stamtąd jeszcze działał, polecał, wciągał w wir swojego niepokojnego życia, życia pięknego i bujnego jak nadzieje młodości.

Życia — które Stefan dawno przegnął, które w nim zamarało i zaschło przysypane zmierzchniem jakiegoś popiołu skrywanego tamte dalekie lata.

Spotkania w sklepiku — były już tylko nikłym śladem dawnych więzów.

Wspomnienia wniosły nieco ciepła i ożywienia. Powoli rozmowa przeszła na teraźniejszość i na przyszłość. Szymon był jakimś lewicowym socjalistą. Należał do jednej z licznych grup, które potworzyły się w wyniku rozpadu ogromnej partii, łączącej różnorodne elementy, od skrajnie opornych do rewolucyjnych.

Stefanowi z trudem już teraz przychodziło branie udziału w rozmowie o sprawach kruchych i delikatnych, pełnej abstrakcyjnych pojęć, dialektycznych chwytów, ideologicznych zasadzek. Tym bardziej, że czuł wewnętrzne skrzepowanie, fałszywość całej sytuacji — gdy musiał przedstawiać siebie jako umysł aktywny i bliski wszystkim tym sprawom. Słowa rozmowy, w której nie mógł znaleźć prawdziwego zainteresowania, były teraz tylko martwymi dźwiękami, kojącymi wokół jednej upartej troski, wokół faktu, który jedynie istniał w rzeczywistości.

Noc nie przyniosła łatwej ulgi. Stefan długo nie mógł zasnąć — wyprężony i czujny — zmartwiały w grozie, która napępiała teraz cienną przesłaną. Wyobraźnia pracowała gorączkowo, tworząc coraz to nowe wizje, możliwości i obrazy.

Jednocześnie uspakajał się, że chodzi mu tylko o tamtych, o matkę i brata. Że gdyby był sam... Ale wówczas myśl niepokojna i czujna jasno wykazywała sztuczność tych zaślón, jakie wytwarzał sam dla osłonięcia prawdziwej rzeczywistości, sztuczność argumentów wyszukiwanych dla odpedzenia upartej, narastającej świadomości swego istotnego stanu. Swego małości wobec takiego Szymona. Wobec Kazia. Wobec nich wszystkich.

Szymon... Szymon też tylko chce żyć za wszelką cenę — i nie więcej. Nie czuje się inaczej niż ja w tej chwili — przeżywa też to, co i ja — może jeszcze gorzej...

Wiedział jednak, że są to tylko nieudolne wyrzuty, podsuwane przez miłość własną, przez ambicję. Była jakaś istotna różnica między nim i Szymonem, choćby nawet przy puścił, że Szymon nie był dla łączem, że nie poświęcał się dla niczego i nikogo, że po prostu ratował swoje życie. Różnica, która nie spowodowała się do odmiennych sytuacji w jakich znajdowali się dotychczas obydwa, do różnicy w stopniu niebezpieczeństwa, które remu podlegał. Była różnica.

Szymon musiał oczywiście spędzać czas wyłącznie w domu nie pokazując się nikomu. Stefan przyniósł mu rano napierosów i kilka drobiazgów, jak mydło i t. p.

Gdy biegł tak ulicą w zimnym powietrzu wiosennego poranka, pachnącego deszczem i świeżą ziemią przypominał sobie wszystkie przeżyte lata, tamtą daleką, silną młodość, jakże inną od tej beznadziejnej goryczy, od słabości i otepienia, które przysyłało go powoli, spychając na niziny zamkniętej w ciasnym kręgu egzystencji.

R A T U

N E K

Potem — codzienna wędrówka smutną i opuszczoną ulicą, pod górę do miasta w tłoku wlokącego się wolno tramwaju, wśród przygnębionych i szarych ludzi. W pewnym miejscu, już w śródmieściu, gdzie wysiadł, mała grupka czytała nowe ogłoszenie. Stefan spojrzął ukosem na czerwony plakat. Obwieszczenie ostrzegało przed przechowywaniem Żydów zbiegłych z ghetta i groziło bezwzględna karą śmierci wszystkim, w których mieszkaniu znajdzie się zbieg.

Dwie stojące obok kobiety rozmawiały półgłosem o rzekomych komisjach sanitarnych, które chodzą już po mieszkaniach; w istocie w celu poszukiwania ukrywających się Żydów.

Brzemie dnia wczorajszego zważyło się znowu uciskiem. Plakat nie głosił nic nowego. A jednak dopiero teraz ten czerwony arkusz papieru nabral szczególnej aktualności, osobliwego znaczenia dla Stefana.

Stał w grupce osób, na deszczu lekko siepiącym w twarz i patrzył spod obmokłego kapelusza na czarne, szeroko rozstawione litery, skierowane do niego osobiście, na wyzwanie rzucone oto jemu, właśnie teraz, po tylu latach szczęśliwych uniknięć.

Nie ma przecież kennkarty, nie ma nawet kennkarty, nic...

A jeżeli nie przyjdą, nie zgłoszą się po niego? Stefan nie wiedział nawet jak obecnie mógłby odszukać Halinę. Wszystko było zatem możliwe. Możliwe było zamknięcie się potwornego kręgu bez wyjścia.

Wieczorem — zastał Szymona leżącego na tapczanie. Nie czytał książek, które mu pozostawił Stefan rano. Dużo palił, pokój był zadymiony i zamieszany popiołem.

Mówił znowu o swej żonie. Był o nią niespokojny.

W małym mieszkanku na Mokotowie minęły jeszcze dwa długie dni napiętej ciszy. Szymon godzinami patrzył gdzieś w okna, daleko za Wisłę. Stefan zastawał go tak, gdy wracał z miasta, stojącego z twarzą nieruchomą i jakby zamrą, w blasku żółtych świateł wieczoru, które kładły na nią jeszcze więcej znużenia.

Rozmowy stały się teraz krótkie i jakby zdawkowe. Gość może wyczuwał niepokój jakim napelniał ten dom, brzemie gniojące Stefana, jego zamknięcie się i bierność wobec sytuacji, jego brak wewnętrznej przekonania w stosunku do całej sprawy.

Stefan — pełen konfliktów — szamoczący się między narastającym już w nim buntem i niemocą wyzwolenia się z gestych oparów wyobraźni, z ciemnego dymu grozy, przez który nie mógł ujrzyć światła rzeczywistości, istotnego sensu tego co go spotkało — milczał zajęty więcej sobą niż gościem. Czuł, jak rozpaczliwie usuwają mu się wszelkie ostatnie argumenty przemawiać mogące na jego korzyść, ostatnie próby usprawiedliwienia.

Szymon przyszedł do niego po ratunek. Ten dom, ten pokój, on sam był dlań jedyną ostoją, uścieniem, życiem. I wiedział, że nie ma zbyt wielkiej

różnicy między biernym znoszeniem tej sytuacji a zamknięciem zbiegowi drzwi przed nosem. Brak wewnętrznej decyzji, ustąpienie pod naciskiem okoliczności i z braku odwagi do wyrzucenia zbiega wprost na ulicę — pachniało krwią i zbrodnią, taką samą, jaką byłaby prosta odmowa.

Szymon miał prawo do niepokoju, do trwogi o swe życie. Stefan począł sobie uświadamiać, że prawo to jemu, w położeniu, w którym się znalazł teraz, gdy dom jego był jedyną ostoją i ochroną dla tamtego — nie przysługuje, że lęk jego jest czymś innym niż groza, którą przeżywał Szymon. Ze może staje się ciężka, niewybaczalna wina, czymś surowym, dźwigającym się w mroku, za co trzeba będzie odpowiadać.

Ale jednak ciężar grozy, ucisk bolesny, gniojący nieustannie od chwili pojawienia się Szymona — nie ustępował. I pragnienie zwalnia tego ciężaru było nie mniej silne niż na początku, pragnienie to paliło po nocach i napinało myśl niezmiennie w jednym kierunku: aby to stało się jak najprędzej, aby nastąpiło wreszcie ocalenie, wyzwolenie, usunięcie się chmury, która zawisa nad bezpiecznym — jak się dotychczas wydawało Stefanowi — jego życiem. Aby nastąpił — ratunek.

Pewnego wieczoru Stefan wrócił nieco wcześniej. Szymon leżał na tapczanie odwrócony do ściany. Stefan chodził długo po pokoju, kręcąc się nie zdecydowanie, niepewny — czy Szymon śpi, czy też nie zdradza ochoty do rozmowy.

Wreszcie — tamten odwrócił się, dźwignął powoli i zbliżył do okna. Stefan zauważył, że oczy miał jakby zmęczone i zaczerwienione, twarz jakby bardziej zapadniętą i martwą.

— Panie Stefanie — odezwał się powoli — jest coś złego. Nie mam wiadomości od żony. Już dawno powinna być na tej stronie. Nie wiem co to znaczy. Już powinna tu być, albo też — przecież daleko mi jakoś znać. Nie wiem, co to... Zresztą, może już jej więcej...

Przy tych słowach głos Szymona przycichł i zgasł gdzieś w krtani i mały, mizerny człowiek odwrócony ku oknu — wybuchnął nieoczekiwanie krótkim, urywanym płaczem.

Stefan — zaskoczony tym nagłym załamaniem się Szymona — milczał niezgodny do zwykłych słów konwencjonalnej pociechy, na które zdobywał się od czasu do czasu. Stał przy stole zniemiał, nie patrząc w jego stronę. Podniósł dopiero głowę gdy tamten począł kręcić się po pokoju, szukał kapelusza, wciągał płaszcz...

— Proszę pana — co pan? Panie Szymonie — co Wy? Co Wy robicie?...

— Dziękuję panu za wszystko — naprawdę dziękuję bardzo — zbliżył się i chwycił rękę Stefana w swe chude dłonie. Potem odwrócił się znowu powtarzając raz jeszcze — dziękuję za ratunek.

— Ależ słuchajcie, przecież... — Idę po nią — odezwał się Szymon. Wiem, gdzie są jeszcze możliwości przedostania się.

Będzie starał się skontaktować z tymi, którzy mieli ją przeprowadzić. Znam adres. Może ją odnajdę i wyjdę razem na tę stronę. Dalej nie wiem. Będzie. Zresztą, jeśli nawet... wolał już tam, z nią razem, niż tutaj. Nie mogę żyć, gdy ona tam... widzę ją wciąż, nie mogę myśleć, że oni... zrobię wszystko co będę mógł... tak będzie lepiej...

— Ratunek — mruknął Stefan ciągle kołysząc się pochylony nad stołem, jakby wypatrywał tam czegoś uporczywie. Ratunek.

Tak — oto nareszcie nadszedł moment, w którym mógł się uratować. Tamten odchodził. Będzie znowu spokojny. Zostanie sam. Nic się nie zmieni, będzie w domu wszystko, jak przedtem. Oparł dym grozy rozwieje się. Obudzi się jutro, jak po niespokojnym śnie. Będzie spokojny. Wystarczy kilka uprzejmych frazesów i...

— Wy — krzyknął nagle — to Wy dziękujecie mi za ratunek?...

Dalej sprawa posuwać się już wprost nie mogła. Stefan stał oto wobec faktu którego niedawno przewidzieć nawet jeszcze nie mógł. Wobec faktu przeobrażającego wszelkie rozwiązania. Czuł jednocześnie, że Szymon zdecydowany jest do ostateczności, że nie jest to u niego tylko wybuch rozpacz. Szymon naprawdę pragnął tam iść.

Stefan uczuł nagle chłód na czole u nasady włosów.

Kilka minionych dni, wydarzenia ostatnie przebiegły znowu wstecz, aż do momentu, gdy Szymon stanął tu wieczorem, do tej chwili zaskoczenia, bezwładnego poddania się temu — co powinno być podjęte przecież z najgłębszą radością. Z radością z samej możliwości dokonania tego czynu, wydarcia kogoś idącej za nim śmierci.

Stefan odczuł, że wtedy, tego wieczoru, jakgdyby sam coś pogrzał, stracił jakąś szansę — że przeszło koło niego coś, czego nie chwycił, czemu pozwolił uciec... Coś, co pragnąłby, może daremnie, zatrzymać teraz, odzyskać.

Ratunek — pomyślał raz jeszcze.

Jakieś zapomniane, zagubione we mgłę ciężkich lat słowa spłynęły nagle, wydarły się z grubych ciemności wieczoru — te słowa powracające po latach, utajone gdzieś w świadomości, słowa, które nie wiadomo czemu przyszły teraz nie szukane — a jednak odnalezione.

Nie ma większej miłości — pomyślał Stefan. Tak to było to właśnie „nie ma większej miłości nad tę, gdy kto życie swoje oddaje za przyjaciół swoich...”

To były te właśnie słowa. To one stały tutaj teraz — w postaci tego osaczonego, ściganego człowieka, którego od zagłady dzieliła może tylko ta ściana, przestrzeń kilku metrów. Któremu śmierć groziła wszędzie poza tym domem. Tego człowieka, który gotów był iść tam...

Pochwycił nagle Szymona za rękę i zaciskając twardo szczęki syczał, szeptał:

— Wy — nie pójdzicie. Zostaniecie tutaj. Ja idę tam. Zaraz. Odnajdę Halinę, dotrę do...

— Dotrzecie — dokąd...? Stefan wyczuł w pytaniu tym, jakby lekki dźwięk ironii. Przecież tylko ja wiem...

— Prawda, tak...

— Och, panie Stefanie — dajmy temu pokój, niech mnie pan już nie zatrzymuje — naprawdę — tak będzie lepiej...

— Ja Was nie puszcze! — powiedział Szymon — wy nie możecie już nie mogę tak dłużej, ja nie mogę dopuścić teraz byście odeszli... ja nie chcę, muszę to wszystko inaczej. Przyprowadźcie swoją żonę, będziecie u nas tutaj razem, jakoś was potem urządzię, to się da zrobić — zobaczcie odnajdę ją na pewno...

— Panie Stefanie — ja wszystko rozumiem, ja dużo widziałem i wiem, ja się nie dziwię i nie mam do pana żalu, pan nic nie jest winien. Dziękuję panu, był pan dobry dla mnie — i... nie mogę tu zostać, zresztą pan ma obowiązki — a ja też, ja też...

Stefan odetchnął głęboko.

— Słuchajcie — jeśli mimo

wszystko macie do mnie choć trochę zaufania — nie opuszczajcie nas, nie odchodźcie. To co chcecie zrobić — to okropne, niemożliwe. Przez pamięć Kazia — proszę — zostańcie. Nie mogę Was tak puścić — nie mogę teraz, nie zgodzę się nigdy byćcie Wy...

Szymon milczał. Stefan począł krążyć po pokoju, poczem nagle zbliżył się do niego i odezwał cicho:

— Ja... w każdym razie — przecież wiecie — ja nie mogę Was tak zostawić. Jeśli mimo wszystko — pójdzicie — nie sprzeciwiajcie się — pozwólcie mi iść ze sobą. Przydam się na pewno. Pozwólcie...

Szymon patrzył w oczy Stefana spokojnie i milczał ciągle. Tamten wyszedł na chwilę do kuchni. Szymon usłyszał stamtąd rozmowę, pytania i słowa Stefana:

— Będzie musiał dziś zostać trochę dłużej na mieście. Może już dziś — nie wróce.

Bohdan Ostromecki

BALZAKIZM POWOJENNY

(Dokończenie ze str. 2-giej)

tendencji wyrażać i jaskrawo reakcyjnej, płaczący nad upadkiem przeżytków feudalizmu, oczerniający przedstawicieli „tiers — état” w szerokim francuskim słowa znaczeniu, od sybaryty bankiera po osłańnięgo nędzarza wiejskiego, piętnuje tego stanu wspólny i sąsiedni, egalitaryzm i rewolucyjność, skierowaną przeciw przewodnielwu szlachty, opór „prawem i lewem”, solidarną intrygą i otwartym buntem stosowany za Restauracji. Rozkład światła i cieni w tym obrazie jest znamienity: wszystkie światła są po stronie zamku arystokraty; tam tylko szlachetni i dobroczynni ludzie, hrabina, jej mąż, jej wielbielcy, jej wierna służba. Po przeciwnej stronie same potwory moralne, oszuści, złodzieje, alkoholicy, degeneraci, erotomani i brutalni rozpustnicy.

Niemówność oddania po polsku gwarowych wyrażań chłopskich: obok tego liczne błędy, niezrozumienie w pośpiechu tekstu (kapelusze damskie z „przyłbicą”, powinno być z daszkiem, — dwa znaczenia słowa „visiere”), oddanie go niewłaściwym słowem („berlińska” — mowa o paradnej karcie, „une berline”, po polsku trzebaby powiedzieć „karoca”), lub rażących galicjanizmów (izba „czekalna”).

Ale talent Boya — tłumacza, drzemający na ciężkich stronicach nieudanego utworu Balzaca, budzi się w ustępach artystycznie wartościowych, których istnienie sprawiedliwość nakazuje podnieść. Takim jest — żeby wyciąć możliwie obszerny fragment — opis (zresztą statyczny, słabo włączony do tego, co ma być fabułą powieści) „Śmietanki towarzyskiej” miasteczka Soulanges, szereg przezabawnych i dowcipnie narysowanych karykatur, stanowiących razem satyryczny i pełny nienawiści przekrój francuskiej burżuazji prowincjonalnej i jej kultury na początku ubiegłego stulecia. Specjalną świetnością błyszczą w niej straszczczenie (ilustrowane cytatami, znakomicie oddane przez Boya, który jeszcze raz pokazuje jak umiał władać wierszem) poematu opiewanego, którym wierny uczeń księdza Delille'a ugruntował swą lokalną sławę poety: arcy-

wzór subtelnej parodii literackiej i godnej wielkiego krytyka charakterystyki pewnego stylu i określonego gatunku literackiego; dla nas tem ciekawszy, że oświetla również całą epokę naszej poezji, „pseudoklasykiem” warszawski. Ale zalety tego ustępu nie ratują powieści, której wydanie jest jednym z najbardziej niepokojących objawów powojennego neobalzakizmu.

Poza balzakizmem, Balzac w chwili obecnej, zwłaszcza u nas, przeżywa ogromny renesans po pularności, a to 1) ze względu na pietyzm pamięci znakomitego pisarza, który go tłumaczył; 2) ze względu na dopatrywanie się wielkiego społecznego znaczenia tego dzieła pod sugestią pochwał twórców socjalizmu naukowego. Pochwały te należy jednak rozumieć jako uznanie w dziele Balzaca dokumentu socjologicznego, bardziej ważkiego w ich rozumieniu, niż dane współczesnej im socjologii i ekonomii politycznej, z którą prowadzili, walce. Niewątpliwie, podnosi to historyczne znaczenie twórczości Balzaca, nie o tyle jednak, aby najstarsze jego artystycznie utwory zalecać do czytelni ludowych i bibliotek szkolnych, gdzie napewno nie staną się poczytną książką, zajmującą i kształtującą lekturą (nawet dla najlepszych utworów tego pisarza potrzebna jest perpektywa historyczna i wyrobienie dorosłego i wykształconego człowieka); w dodatku i tendencję swoją, jaskrawo wyrażoną w refleksjach i dygresjach autora, mogą wprowadzić co najmniej, zamęt jeśli nie gorsze perturbacje w światopoglądzie czytelnika, nie posiadającego odpowiedniego przygotowania.

Miłośnikowi literatury w Polsce poznanie „Chłopów” Balzaca przyniesie jedną korzyść: uniemożliwi wspomnianie tego utworu ex - re „Chłopów” Remonta. Nie ma dwóch utworów pod tym tytułem bardziej niepodobnych. Zresztą u Balzaca w tej powieści i tytuł jest sprzeczny z zawartością: w obronie walki mieszczaństwa z arystokracją na prowincji, chłopcy występują jedynie w rolach epizodycznych.

K. W. Zawodzieński

WŁODZIMIERZ PIETRZAK (Bcłk)

30

LOT JASKÓŁEK

Z cyklu „Między wschodem a zachodem”

— De Man w krótkim streszczeniu — wtrącił Dewin.

— De Man nie de Man. Socjalizm jako dogmat, jako system dogmatyczny, jest dziś w tym położeniu wobec niezależnej myśli.

— I to mówią marksista! Myśl nie leżała.

— Właśnie, o to już herezja. To właśnie chciałem powiedzieć, przeżyliśmy gdzieś od 1920 roku czasy herezjarchów. W sztuce, w socjologii — ustawiczne poprawki, które wywołały wojny poglądów. Czas się zastanowić. Dogmat jest tak długo dobry, jak długo ludzkość nie może mu przeciwstawić nowej wiedzy, zaczerpniętej z ostatnich własnych doświadczeń. Wydaje mi się, że zebrałiśmy już trochę doświadczeń przeciw marksizmowi w jego formie dogmatycznej. Skoro chcemy cenić wolność, musimy cenić wiarę. Tylko wiara gwarantuje wolność, dogmat, a więc przyjęcie rozumowe formuły, krępuje wolność.

— Tadeuszu, ty nieporządnie myślisz — oświadczył Dewin. — To przecież dogmat jest przyjęciem na wiarę.

W marksizmie dogmat wygląda inaczej. To jest prawda, co jest racjonalne, co jest logiczne. Tymczasem, prawda może być też irracjonalnej natury. Może wyrastać z płomienia, z tego, co wyraził najlepiej Żeromski w „Słowie o bandosie” — „a stopy palił mu sandał z płomienia”.

— Żeromski. — strzyknął przez zęby Nędza. — To już czysta inteligencja.

— Pamiętajmy, kto tworzył kadry czerwonych oddziałów cudzoziemskich w Hiszpanii — inteligencja, nie proletariatus. Czas już skończyć z tą zawodową niechęcią wobec inteligencji.

— Dziwna klasa — pokiwał głową Dewin — zawsze na czyjejs służbie. Kapitalizmu, państwa, proletariatus, że też zdobyć się nie może na działalność we własnym imieniu. W co socjalizm ma wierzyć? — zwrócił się nagle do Czelapińskiego. Wyszło to prawie szorstko.

Odpowiedział po krótkim namyśle.

— Jeden jest tylko wielki problem — jak żyć. I drugi jak wytrzymać sobie narzuconą miarę. Nad tym właśnie myślę, tu się natykam na niepewność.

— Masz odpowiedź na pytanie o inteligencję, Piotrze. Ci ludzie nie wiedzą jak żyć — powiedział Nędza.

Wszyscy się rozchodzili. Ksawery został na noc u Piotra, wcale nie mieli jeszcze zamiaru się kłaść spać. Do jedzenia już nic nie było. Trochę sodowej wody. Piotr pił łapczywie. Odwrócił się.

— Dostałem kartę powołania. Oto tajemnica mego powrotu.

— Aha — ziewnął Ksawery. Piotr go teraz prawie zupełnie nie obchodził. Nawet nie poprzez Elżbietę. Zastanawiał się: nie, nie była ładna. A jednak, jej twarz przykuwała uwagę. I coś w linii nóg. Coś gotyckiego, strzelistego.

— Brednie nocne — pomyślał. — Tak, Tadeusz był naprawdę człowiekiem — właśnie nie przez ten niepokój, przez nieposiadanie ostateczności. Szedł trochę na ślepo naprzód, Ksaweremu się zdawało, że go rozumie: zatrzymywał się potem, nasłuchiwał tętentu spozza siebie. Owszem, brał odpowiedzialność za wszystko, co robił — wobec innych, wobec ludzi. I jednocześnie, sam gotów był zasiać w każdej chwili do sądenia siebie. Nie miał pewności, czy nie należało postąpić inaczej, nie mógł się do tego przyznać. Przyznanie się byłoby rodzajem próby o wyrozumiałość, o pobłażanie.

— Jutro, a raczej dzisiaj — zaczął znowu Dewin — muszę się zgłosić do koszar. Dwu dziesiąty pierwszy pułk. Koszary — brr, mam nadzieję, że szybko pójdziemy w pole. Pisz do mnie często, bardzo potrzebuję listów, ludzi. Nie mogą być tak sam, wtedy mam wrażenie że czas dla mnie zupełnie stanął, że jestem skazany na zamienienie się w posąg. Rozumiesz, bez dziania się. Co za straszna rzecz — być nikomu niepotrzebnym.

— Ty to mówisz? A kultura, a sztuka?

— Dziwisz się? Najważniejsze jest mieć jednego człowieka, lecz na własność. Nie w sensie posiadania, wiesz, przecież nie jak obraz na ścianie w galerii. Mieć go w wolności. Wiesz, co to jest wolność? To zrozumiana konieczność. Aby rozumiał, że nie ma dla niego lepszego na świecie wyjścia jak być z tobą, dla ciebie.

Po chwili:

— Widziałem, ciębie dziś zajął najbardziej Czelepiński. Tylko jedno i ty, i ja mamy z nim wspólne: poczucie skończonej młodości. Ostatni dzień naszej młodości to będzie ostatni dzień przed wypowiedzeniem wojny. My o tym wiemy, my to już przeczuwamy. I zabawne są nasze reakcje: ty szukasz wszędzie rady, sposobu przystosowania się. Ja nie chcę być sam, skoro nie mogę mieć Elżbety, jest mi wszystko jedno, mogę iść do wojska. Paryż to jest jednak za wielka samotność. A on reaguje śmiertelną powagą, nie jest zdolny poznać się na żadnym żarciu. Bierze wszystko na serio — jak na mój gust, za wiele w tym koturnu.

Najgorsze było właśnie to, że Piotr wcale nie miał ochoty iść spać. Ksawery łaknął teraz samotności, możliwości myślenia, ale Piotr nie domyślał się tego wcale. Nie opowiadał o Paryżu, o swoim Paryżu, to jedno go rozgrzeszało w oczach Ksawerem.

— Zabawne też jest — powiedział w pewnym momencie — jak bardzo odnawia się środowisko znajomych, przyjaciół. Gdzie są ci, z którymi kiedyś byłem tak blisko, tak dobrze? Jeden Nędza... Kobiety, to by się nawet rozumiało. Są, odchodzą. Ale i mężczyźni. Okazuje się, że i do tego nie należy przywiązywać wagi. Nihil admirari.

— Wtedy się nie pamięta, że się żyło.

— A Ligoń? Wyjechał, aby właśnie zapomnieć o wszystkim.

— Pytanie, czy to jest możliwe, czy mu się to uda. Czy wiesz co przeżywał w kanale Sueskim? Może bardzo pragnął wrócić i tylko przez ambicję.

Potem jednak próbowali usnąć, Dewin ciągle jeszcze gadał, to było właściwie potworne, że nie mógł usnąć. Ksawery nakrył się kołdrą i udawał, że śpi. Doszedł do tego, że gadanina Piotra mu zupełnie nie przeszkadzała. Właściwie, sytuacja Tadeusza w stosunku do innych ludzi była niedobra. Na ogół niewiele osób bierze życie na serio. Jeżeli nawet, przyjęte jest udawać, że się tego nie robi. Istnieje znowa przeciw tym, którzy mają do życia taki stosunek jak Tadeusz. Okrzykuje się ich za wariatów, za fantastów, odsyła się ich na boczny, ślepy tor. I nierówności środków: wszystkie kroki, umowy,

zobowiązania ludzkie są zwykle pół, ćwierć serio, pół szczerze, ćwierć szczerze, z możliwością czegoś więcej niż wycofania się: z możliwością ucieczki, ogłoszenia istniejącego zobowiązania jako czegoś nigdy niebyłego, opartego tylko na nieporozumieniu. W ujęciu podobnym jak sprawa z Krystyną. Ksawery nie miał już odwagi niczego jej przypominać, bał się z jej strony zdziwienia, które byłoby edyktem ostatecznie unieważniającym między nimi wszystko. Zastanawiał się nad tym, dlaczego chce utrzymać pozory, przynajmniej pozory. Czy liczył się z możliwością powrotu Krystyny? Na co więc czekał? Co za pytania, na które nie ma odpowiedzi.

Do Włuk przyjechał nazajutrz przed zmierzchem, samochód stanął u bocznego wejścia do ogrodu, przeszedł cicho puste alejki. Dużo jabłek na drzewach, pod drzewami. Dalej, gazony przekwitających róż. Jeszcze gdzieś tam parę pąków, trochę splowiałych kwiatów. Potem fiolety z rojem pszczoł w górze, nachylił się nad klombem: co za zapach, jedyny w swoim rodzaju, niemożliwy do opisu! Psy go z daleka zwietrzyły, przybiegły, poczęły się łasić, nie szczerkały. Nie miał ochoty na psy. Odsunął je od siebie i poszedł ku domowi. Miał wrażenie, że się właściwie zakrada, żałował, że nie zjechał normalnie przed dom. Ale miał taką ochotę zobaczyć ogród.

Ten dom we Włukach miał jedną osobliwość, przyjeżdżało się zawsze w pustkę, jak do opuszczonego przez ludzi siedliska. Nikt nigdy nie wychodził na spotkanie, najwyżej psy. Ojciec miał zwyczaj stać na ganiku i dzwonić tak długo, dopóki wreszcie ktoś nie wybiegł. To nie miało sensu, takie wywoływanie nastrojów powitania. Zdjął płaszcz w ciemnym wilgotnym hallu, była to wilgoć zjadliwa, przenikająca aż do duszy, jeżeli tak można powiedzieć.

Krystynę zastał w jej pokoju. Nie była zresztą sama, obok niej na kozetce siedział Alex i gdy Ksawery wszedł, odniósł wrażenie, że dłuższy czas milczeli. Patrzyli w okno, w oknie gasło słońce, była cisza, nie zwrócili uwagi na jego kroki. Odwrócili się ku niemu, Alex zerwał się szybko, na równe nogi. Potem podniosła się Krystyna, już wolniej; nie mówiła. Niewątpliwie, był zanadto podejrzliwy. Wydawało mu się jednak, że nie mogą odzyskać swobody, że są skrupowani jego przyjazdem. Nie spoglądali na siebie. Wyszła prawie natychmiast z pokoju — „przecież musisz coś zjeść” — powiedziała. Alex chciał przed wieczorem wyjeżdżać, lecz Ksawery zatrzymał go na noc. (c. d. n.)

Czytelnik uważa, że..

Do Redakcji „Dziś i Jutro”

Na marginesie artykułu „Kardynał Hłonda i Feliks Nowowiejski”, pisał prof. Feliks Marii Nowowiejskiego.

Chociaż niektóre szczegóły z życia artysty kompozytorskiego s. p. Wielkiego Kardynała Prymasa dr Hłonda, niestrudzenie czynnego mecenasu uszlachetniającej ducha, sztuki muzycznej, były nam już znane z innych wcześniejszych publikacji prasowych, czytaliśmy jednak z niesłabnącym wdzięcznym zainteresowaniem ciekawe wywarczenia, odzwierciedlające wzajemny stosunek pomiędzy, tak niestety przedwcześnie zgasłym — Prymasem i s. p. Mistrzem — kompozytorem — Feliksem Nowowiejskim, które wzbudziły dawne, żywe wspomnienia w duszy i nasunęły nowe refleksje.

W roku 1932 miałem przyjemność zaszczyt wzięcia udziału ze szkołą zwoła w uroczystym powitaniu ks. kardynała — Prymasa w Niedźwiedziu, pow. Kępno. Poprzedniego dnia powrócił On dopiero z Anglii i pozostawił własną na Zjazd Katolicki w Kępnie. Na pograniczu, w Niedźwiedziu, zbieżeli się przedstawiciele władz z p. starostą, Dąbrowieckim i s. p. Ks. dziekanem Sucharskim na czele.

Owczesna uczennica klasy V szkoły powszechnej w Niedźwiedziu, Maria Soltysikówna, obdarzona niezwykle wdzięcznym głosem, odśpiewała

bardzo udatnie solo pod kierunkiem piszącego nikt te słowa pieśń Kardynała „Marii chwałę śpiewać będziemy”, a więc Kantatę, o której wspominał p. prof. Feliks, Maria Nowowiejski w swojej muzykologicznej pracy. Kardynał Kompozytor uważa

nie i jakże kornie się wsłuchiwał, następnie dawno już zmarła, córka nacz. Urszula, zadeklamowała oryginalny, specjalnie ułożony poemat powitalny, p. prof. Feliks, Maria Nowowiejski w swojej muzykologicznej pracy. Kardynał Kompozytor uważa

śla, autora słów znanej pieśni „Błogosław Matko naszej biednej ziemi” i przemiej książeczkę: „Mała Nelli”. Kardynał do głębi wzruszony, wyjął z wiązanki różę, podał ją naszej córeczce, wyrażając wielką radość z powodu licznego udziału młodzieży szkolnej w uroczystości powitalnej słowami: „Bardzo się cieszę. Bardzo się cieszę”. Szanowni Czytelnicy „Dziś i Jutro” zechcą mi łaskawie

wybaczyć małe to odchylenie się od właściwego tematu.

Nad wyraz miła pieśń „Marii chwałę śpiewać będziemy”, w której tak szczęśliwie dostosowała się z treścią melodia, powinna przejść do stałego repertuaru pieśni kościelnych, zwłaszcza przeznaczonych na okres epikurystycznego kultu Serca Najświętszego Marii. W praktyce stwierdziłem, jak chętnie nauczył ją dzieci.

Będąc niedawno na nabożeństwie żałobnym za duszę Ks. Kardynała, usłyszeliśmy z ust tamtejszego proboszcza, ks. dr Komorowskiego, że studiując kiedyś w Rzymie, był naczynym świadkiem, jak Wielki Mistrz, Ignacy Paderewski, zachwycał się cudowną grą fortepianową Ks. kardynała Hłonda.

Może dowiemy się w niedługim czasie, jakim nakładem wyszedł „Motet Marianański”, Feliksa Nowowiejskiego, na tę melodię s. p. Kardynała Hłonda, o którym autor wymienionego artykułu wspominał.

Daremnymi są, niestety dotychczasowe poszukiwania nasze za autorem wspomnianego „Nicchaj będzie pochwalona Pani naszych dusz” (do słów ks. Ewarysta Naworowskiego) Feliksa Nowowiejskiego, którą posiadałem z własnoręczną dedykacją kompozytora, lecz wraz z całą swoją biblioteką straciłem podczas okupacji.

Zupełnie po myśli ks. Kardynała Prymasa byłoby wydanie osobne kompozycji organowych Feliksa Nowowiejskiego, jako cenne wzbogacenie naszej literatury organowej.

Franciszek Podlak
Wrocław — Karłowice

Liscie rybackie cienkie i grube
Wore przeciwnoziarowe tkoczne

Tachowosć i wytrzymałość
wieloletnie użytkowanie
bardzo niska cena
niezmiennej jakości
i koloru

WYTWÓRNIA WYROBÓW TKACKICH
inż. WITOLD IZDEBSKI i s.ka.
'IWIS' SP. AKC. GRODZIŃSK-MAZ. UL. SPÓŁDZIELCZA 2 7067

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński, Andrzej Micewski.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m 17, tel 880 71 Konto PKO - Nr 1 727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz wtorków i sobót, godz. 12.30 - 13.30

Prenumerata miesięczna 50 złotych Kwartalna 180 złotych

Druk. Skolimowska 8.

B-66636